9 771898 308011 31

POLSKA

19 lat

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 27.07.2026
Nr 60 (2571)
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682

MAGAZYN • STR. 3–5

Rozpad PiS stał się faktem. Co teraz zrobi Morawiecki?

Niewiele ponad rok przed wyborami mamy spore przetasowanie na polskiej scenie politycznej



BT/FOT. PPG

DZIŚ W NUMERZE
- *Sportowy 24: najciekawsze informacje i analizy ze świata sportu*
- *Pod paragrafem: najstraszniejsze historie kryminalne retro*

DZIŚ SPECJALNY DODATEK

Mistrzowie fotografii

A w nim prezentujemy wszystkich laureatów

MAGAZYN • STR. 8–9

Uwodzi cię piękna kobieta? Uważaj, to może być zasadzka

MAGAZYN • STR. 12–13

Justyna Steczkowska: Mieszka w nas boska iskierka zwana duszą

www.i.pl

eprasa.pl 3daaa9cb0a

POLECAMY

PIĄTEK: Powstańcy warszawscy odchodzą. Pamięć musi trwać

27.07.2026
Poniedziałek

Dziś imieniny: Aureliusza, Julii, Natalii
Telefon alarmowy: 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Zenon Nowak
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Janusz Michalczyk
publicysta



Andy i Zohran. Czyli o tym, że jest nadzieja dla lewicy

Skrajna prawica prze do władzy - alarmują od jakiegoś czasu komentatorzy, wskazując zwłaszcza na sondaże w Niemczech i we Francji, ale rzeczywistość jest bardziej skomplikowana, bo politycy o lewicowym nastawieniu zyskują popularność w USA czy Wielkiej Brytanii. Premierem tego ostatniego państwa został właśnie Andy Burnham z Partii Pracy, dotychczasowy burmistrz Manchesteru. Nadzieje z nim związane są duże, bo gospodarka tego miasta rozwijała się w ostatnich latach w tempie dwukrotnie szybszym niż całego kraju, przynosząc nowe miejsca pracy i wzrost dochodów mieszkańców. Oczywiście, Andy nie jest cudotwórcą, lecz zręcznym politykiem, który z jednej strony cofnął prywatyzację usług publicznych, przywracając kontrolę władz lokalnych na nimi (np. komunikacja autobusowa), a z drugiej - znakomicie dogadywał się z inwestorami, usuwając różne bariery administracyjne.

Coś podobnego robi Zohran Mamdani, burmistrz Nowego Jorku, któremu polityczni przeciwnicy przyklejali łatkę „komunisty", bo zapowiadał m.in. rozwijanie budownictwa społecznego, zamrożenie czynszów czy darmowy transport miejski. Pół roku po objęciu stanowiska Zohran zaskoczył wszystkich, wciągając do współpracy potężnych deweloperów. Obiecał im poluzowanie restrykcyjnych przepisów i liczy na to, że szybko zamienią stare biurowce na lokale mieszkalne.

Co łączy tych dwóch polityków? Nie tylko działania ułatwiające życie niezamożnym ludziom, ale przede wszystkim pragmatyzm, elastyczność, nieszablonowe myślenie. Ciekawe, ile zdołają osiągnąć...

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Maciej Sandecki
publicysta



PiS przeżywa deja vu. Prezes nigdy wcześniej nie był tak osłabiony

Jarosław Kaczyński przeżył już więcej politycznych rozłamów niż większość liderów partii w III RP. Prawdopodobne odejście z PiS tzw. frakcji harcerzy z Mateuszem Morawieckim na czele, nie będzie więc dla nikogo zaskoczeniem. Pytanie nie brzmi czy ktoś od niego po raz kolejny odejdzie. Pytanie brzmi, czy po raz pierwszy odejdzie ktoś, kto naprawdę może zmienić układ sił na polskiej prawicy?

Piszę ten felieton jeszcze przed upływem terminu ultimatum, które Jarosław Kaczyński dał Morawickiemu i jego ludziom. Teoretycznie więc mogą jeszcze do północy podpisać „lojalkę" i zrezygnować ze Stowarzyszenia Rozwój Plus, ale wydaje się, że sprawa została już przesądzona i żadne, kolejne rozmowy „ostatniej szansy" nie przyniosą porozumienia.

Zastanawiam się czy Jarosław Kaczyński i jego ludzie nie mają deja vu, bo ja trochę tak. Przypominają mi się bowiem wszystkie głośne odejścia z PiS z ostatnich 20 lat, bo wszystkie bowiem miały bardzo podobny scenariusz.

Wszyscy, którzy dotychczas z Kaczyńskim się rozstawali na odchodnym zapewniali, że chcą być dalej w PiS i że zależy im na jedności prawicy. Zazwyczaj nie odchodzili sami, tylko czekali, a z ich Jarosław Kaczyński z partii wyrzuci. Zapewniali, że różnice nie dotyczą spraw ideowych, ale najczęściej modelu zarządzania partią i wewnątrzpartyjnej dyskusji.

Pierwsze głośne odejście miało miejsce w 2008 roku i było to odejście Ludwika Dorna, czołowego polityka tej partii, który z braćmi Kaczyńskimi zakładał jeszcze Porozumienie Centrum i nawet był nazywany „trzecim bliźniakiem". Dorn nie odszedł dlatego, że nagle przestał być konserwatystą. Nie poróżnił się z PiS o podatki, Unię Europejską czy kwestie światopoglądowe. Spór dotyczył czegoś innego - sposobu sprawowania władzy w partii i jednowładztwa Jarosława Kaczyńskiego.

Dorn nie odszedł sam, został wyrzucony z partii i nawet wtedy mówił, że jest „pisowcem na uchodźctwie". Co ciekawe po odejściu założył ugrupowanie o nazwie ... Polska Plus. Czyżby Morawiecki inspirował się tą nazwą zakładając swoje stowarzyszenie Rozwój Plus?

Po Dornie przyszli kolejni. Marek Jurek odszedł w obronie swoich zasad dotyczących ochrony życia, a Kazimierz Michał Ujazdowski próbował budować bardziej republikańską prawicę.

Kolejny poważny rozłam miał miejsce w 2010 roku, po wyborach prezydenckich, które odbyły się po katastrofie smoleńskiej. Jarosław Kaczyński przegrał tamte wybory z Bronisławem Komorowskim, ale politycy, którzy prowadzili jego kampanię pod hasłem „Polska jest najważniejsza", założyli potem ugrupowanie o tej nazwie - PJN. Wśród nich byli m.in.: Joanna Kluzik-Rostkowska, Elżbieta Jakubiak, Paweł Kowal, Marek Migalski, Adam Bielan (później wrócił do obozu PiS), którzy chcieli budować centroprawicową i bardziej demokratyczną alternatywą dla PiS. Partia nie przetrwała, cześć tych polityków jest dziś w KO, część odeszło z polityki.

Najpoważniejszym wyzwaniem okazał się bunt Zbigniewa Ziobry. Odszedł nie tylko były minister sprawiedliwości, ale cała grupa parlamentarzystów. Powstała Solidarna Polska. Tym razem rozłam był rzeczywisty. Wydawało się, że na prawicy pojawiły się dwa silne ośrodki.

I znów historia zadrwiła z prognoz ekspertów. Po kilku latach Ziobro wrócił do obozu Zjednoczonej Prawicy, a jego partia stała się jednym z filarów rządów PiS.

Podobnie było z Jarosławem Gowinem. Choć formalnie nie był politykiem PiS, jego odejście z koalicji miało doprowadzić do trwałego osłabienia obozu władzy. Ostatecznie Gowin zniknął z pierwszej linii polityki, a PiS jeszcze przez wiele miesięcy utrzymywał się przy władzy.

Co się teraz stanie z „harcerzami" Morawieckiego? Czy podzielą los poprzedników, czy może uda im się zbudować coś trwałego i rzeczywiście alternatywnego do PiS?

Mimo licznych podobieństw z przeszłości, sytuacja Morawieckiego wydaje się nieco inna. Jest na tyle majętny, że nie musi błagać Kaczyńskiego o miejsca na listach wyborczych. Razem ze swoją grupą są w stanie sfinansować kampanię potencjalnej partii o nazwie Rozwój Plus. Jeśli przekroczą próg wyborczy i dostaną się do Sejmu (jeden z ostatnich sondaży pokazywał poparcie dla nich poziomie 6,5 proc.) mogą stać się języczkiem uwagi dla ewentualnych rządów koalicji prawicowych jak i centrowych i chyba na to najbardziej liczy Morawiecki.

Trudno im się będzie w kampanii odróżnić od PiS-u, bo Morawiecki dźwiga na sobie ciężar swoich długich rządów i ciężko mu będzie się od tego odciąć. Może więc podzielić los Polski Plus Dorna i PJN-u.

Z drugiej strony ten kryzys w PiS budzi takie emocje, bo dotyczy człowieka, którego część działaczy i wyborców widzi jako naturalnego następcę prezesa, a prezes nigdy wcześniej nie był tak osłabiony i nie miał aż tylu poważnych konkurentów po prawej stronie. Do wyborów jeszcze ponad rok i wiele może się zdarzyć. Każda twierdza wygląda na niezdobytą aż do dnia, w którym po raz pierwszy pęka jej mur.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

POLITYKA

Rozłam w PiS stał się faktem. Co dalej z frakcją Mateusza Morawieckiego?

To moment historyczny: tak wielkiego rozłamu w Prawie i Sprawiedliwości jeszcze nigdy nie było. Niewiele ponad rok przed wyborami mamy więc spore zamieszanie na polskiej scenie politycznej

Dorota Kowalska



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

Pozostaje pytanie, o kolejne ruchy Mateusza Morawieckiego i jego ludzi

W piątek stało się to, czego chyba wszyscy trochę się spodziewali. Jarosław Kaczyński nie mógł się wycofać z wcześniejszych decyzji, bo ten gest zostałby odebrany jako jego porażka. Mateusz Morawiecki też nie mógł zrobić kroku w tył – jego los w PiS-ie zdawał się być przesądzony. Prezes nigdy nie darowałby mu jawnego sprzeciwu, rzucenia rękawicy. Inna rzecz, że Morawieckiemu trudno się było odnaleźć w partii, w której to radykałowie narzucają narrację, piszą program, a ich przedstawiciel został wyznaczony na przyszłego premiera. Efekt – rozłam, jakiego partia Kaczyńskiego nigdy jeszcze nie doświadczyła. Prawdziwe polityczne trzęsienie ziemi.

W czwartek o północy upłynął termin ultimatum kierownictwa PiS dla parlamentarzystów tej partii na złożenie deklaracji, patrz lojalki, o nieprzynależeniu do stowarzyszeń - pod groźbą wykluczenia z Prawa i Sprawiedliwości. Chodziło głównie o członków stowarzyszenia „Rozwój Plus", które założył Mateusz Morawiecki.

W piątek rano okazało się, że 40 parlamentarzystów takiej deklaracji nie podpisało. Krótko mówiąc: zdecydowało się na odejście z PiS-u.

- W związku z tym we wtorek w przyszłym tygodniu odbędzie się posiedzenie Komitetu Politycznego, który po prostu przyjmie ten fakt do wiadomości – stwierdził w piątek Jarosław Kaczyński, lider PiS-u.

Jak mówił, sprawa ta jest związana z jednej strony ze stowarzyszeniem Morawieckiego, „ale przede wszystkim z propozycją, która padła już wiele tygodni temu, żeby podzielić partię".

Owa propozycja miała wyjść ze strony osoby „wiarygodnej, bardzo istotnej w partii i była powtarzana w co najmniej trzech długich rozmowach". Dwie z tych rozmów odbyły się w cztery oczy, w trzeciej uczestniczyło trzech działaczy partyjnych i dwie osoby spoza polityki, które – jak mówił Kaczyński - były jej świadkami.

- Oczywiście na to (podział – przyp. redakcja) zgody w żadnym wypadku być nie być nie mogło i podpisanie tej bardzo prostej deklaracji miało być po prostu niczym innym, jak zdeklarowaniem, że w tego rodzaju przedsięwzięciu się nie będzie uczestniczyło – podkreślił p-rezes PiS. - Ponieważ pewna część naszych koleżanek i kolegów tego nie zrobiła i nie chciała zrobić, to w takim razie wnioski muszą być wyciągnięte – dodał.

Każdy parlamentarzysta PiS wiedział, z czym wiąże się niepodpisanie oświadczenia o braku przynależności do stowarzyszeń.

- Jest, można powiedzieć, w jakimś sensie po wszystkim. Pewna formalność jeszcze musi być dokonana, bo my przestrzegamy statutu – dodał Jarosław Kaczyński.

Morawiecki odniósł się do słów prezesa jeszcze w piątek w Sejmie.

- Do ostatniej chwili walczyliśmy o jedność obozu Prawa i Sprawiedliwości. Jeszcze dzisiaj rano wysłałem list z pewnymi nowymi propozycjami do pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego po to, żeby podkreślić, że deklaracja, która została wynegocjowana, jest deklaracją o bardzo solidnej podstawie – przekonywał.

Jak wyjaśnił, jemu i jego stronnikom zależało na tym, „żeby w ramach tego, co wcześniej zostało ustalone, w kwietniu tego roku, czyli w oparciu o strategię, która umownie się nazywa „strategią dwóch płuc", realizować model dotarcia do bardzo różnorodnych grup wyborców".

- Jest nas 40 posłów, senator oraz trzech europarlamentarzystów. Wiem, że i tutaj pojawiały się różne liczby, my chcemy to przeciąć. Mamy bardzo mocną reprezentację - stwierdził były premier. Zapewnił, że mimo to „do ostatniego momentu walczyli o jedność, o to, by móc działać jako to drugie płuco".

- Nie możemy jednak zgodzić się na to, aby poprzez ultimatum czy szantaż niedawno uzgodniona strategia wylądowała w koszu - zastrzegł.

Zapytany, czy powstanie nowy klub parlamentarny lub nowa partia, były premier poprosił, by „nie pytać dzisiaj o partie, nie pytać o klub".

- Nie dyskutowaliśmy o tym. Do końca walczyliśmy o jedność - powtórzył.

Tej politycznej rozgrywce w Prawie i Sprawiedliwości z zainteresowaniem przyglądała się koalicja rządząca.

„A więc rozłam. Ziobro z Czarnkiem przejmują PiS od wewnątrz. Tym samym czeka nas autostrada w stronę partii brunatnej, eurofobicznej i patologicznie antyukraińskiej. Takiej opozycji nie możemy dopuścić do władzy. Dobro musi zwyciężyć" - napisał Robert Biedroń z Lewicy.

Krzysztofa Brejzy z KO podsumował tak: „Kaczyński wyrzucił z PiS Morawieckiego i ok. 30 jego posłów. Znany schemat w ich przypadku: łączy władza, kasa i bezkarność. Inaczej się żrą i dzielą. Pisowski klasyk".

Tomasz Trela z Lewicy zauważył„ że „bałagan w PiS-ie jest potworny, bo prezes partii nawet nie wie, ilu parlamentarzystów wyrzuca".

„Cyrk na kółkach" – dorzucił.

„Ups. Czyli już oficjalnie: PiS skręca w ramiona Brauna" - czytamy we wpisie, który pojawił się na profilu Polski 2050.

Ryszard Petru z Klubu Centrum wysuwa hipotezę, że Morawiecki i Kaczyński przed wyborami znów się połączą, tak jak to było kiedyś z grupą Ziobry. Między nimi nie ma żadnych różnic programowych. A, jak zauważa Petru, „Mateusz Morawiecki jako premier realizował ten sam socjalistyczny, antyeuropejski program Kaczyńskiego".

„To najpoważniejszy kryzys w PiS od momentu jego powstania i koniec hegemonii Kaczyńskiego na prawicy. Jest tylko kwestią czasu, kiedy odda Nawrockiemu pozycję lidera prawej strony sceny politycznej. To także ważna lekcja dla partii demokratycznych. Kto się dzieli i nie ma żadnego pomysłu dla Polski – przegrywa" - to z kolei Grzegorza Schetyny z KO.

O trzęsieniu ziemi w Prawie Sprawiedliwości piszą zagraniczne media. Według Politico rozłam w największej partii polskiej prawicy na rok przed wyborami parlamentarnymi mocno osłabia szanse całego obozu konserwatywnego na obalenie rządów premiera Donalda Tuska w przyszłym roku. Dalej redakcja zauważa, że zwycięstwo Karola Nawrockiego w zeszłorocznych wyborach prezydenckich zwiększyło szanse prawicy na powrót do władzy, ale od miesięcy poparcie dla PiS słabnie, a w samej partii trwa spór o kierunek polityczny i sukcesję po Jarosławie Kaczyńskim.

Brytyjski „The Guardian" pisze, że największa opozycyjna partia w Polsce rozpadła się po tym, jak władze postawiły jej członkom ultimatum i rozkazały podpisać oświadczenia o lojalności. Redakcja zauważa, że rozłam to wynik konfliktu o to, w jakim kierunku powinna zmierzać partia PiS. Jak piszą dziennikarze „The Guardian", były premier Mateusz Morawiecki chce odzyskać młodszy i bardziej centroprawicowy elektorat, zaś zwolennicy Jarosława Kaczyńskiego zwracają się w kierunku starszych wyborców i narodowej prawicy, bo PiS konkuruje o elektorat z Konfederacją i Konfederacją Korony Polskiej.

„Die Welt" konflikt w Prawie i Sprawiedliwości opisuje jako walkę między „starzejącym się liderem" Jarosławem Kaczyńskim a byłym premierem Mateuszem Morawieckim. Podkreśla też, że obecny spór w PiS jest „największym kryzysem wewnętrznym w partii od lat".

„Der Spiegel" zwraca uwagę, że największa opozycyjna partia w Polsce, która zaciekle walczy z rządem, „sama się demontuje".

Pozostaje pytanie, o kolejne ruchy Morawieckiego, który, póki co, zapewnia, że nie zamierza „przeciągać kolejnych posłów PiS do swojego ugrupowania".

Na antenie TV Republika, Morwiecki był z kolei pytany o to, czy osiągnął porozumienie z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz z Polski 2050 lub PSL w sprawie ewentualnej przyszłej koalicji.

- Nie tylko nie jestem dogadany, ale takich rozmów w ogóle nie prowadziłem. I nie zamierzam prowadzić, ponieważ każdy, kto dzisiaj żyruje ten rząd i go dzisiaj podpiera, choćby nawet podpórka wątła jak trzcina wodna, nie jest dla mnie jakimkolwiek partnerem do rozmów. W związku z tym nie prowadzimy takich rozmów - odpowiedział Morawiecki.

Tyle oficjalne deklaracje. W kuluarach mówi się jednak, że Morawiecki może szukać w Sejmie koalicjantów, tymi naturalnymi wydają się ludowcy, politycy Polski 2050 czy Klubu Centrum. Pytanie, czy uda mu się z kimś dogadać.

PAP

eprasa.pl 3daaa9cb0a

POLITYKA

Dr Tomasz Słupik: Kaczyński nieraz upokarzał Morawieckiego, teraz może tego pożałować

– To Jarosław Kaczyński wprowadził Mateusza Morawieckiego do wielkiej polityki i uczynił go premierem. Teraz jego dawny protegowany może zbudować własną partię i zostać języczkiem u wagi. Dla Kaczyńskiego byłoby to dodatkowe upokorzenie – mówi politolog dr Tomasz Słupik z Uniwersytetu Śląskiego

Anita Czupryn



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Dziennikarze zauważyli, że nawet baner PiS na Nowogrodzkiej... popękał

Czy w piątek nastąpił formalny rozłam w Prawie i Sprawiedliwości?
Tak, zdecydowanie.

Kto wygrał tę rozgrywkę, Jarosław Kaczyński czy Mateusz Morawiecki?
Za wcześnie, żeby jednoznacznie to rozstrzygnąć. W krótkiej perspektywie przegrał jednak Jarosław Kaczyński. Nie udało mu się utrzymać jedności partii. PiS się rozpadło. Pojawiła się grupa skupiona wokół Mateusza Morawieckiego: polityków, posłów i europosłów, którzy wybrali inną drogę, bo w PiS zrobiło im się za ciasno, ale również dlatego, że z różnych powodów uwierał ich skręt partii w stronę skrajnej prawicy. Czy kierują się ideami, czy wyrachowaniem, zobaczymy po tym, co wydarzy się dalej. Postawienie na Przemysława Czarnka jest dla Mateusza Morawieckiego nie do zaakceptowania ze względów ambicjonalnych. Z drugiej strony ukraino-fobiczna narracja Czarnka, a słyszałem jego wypowiedź, w której właściwie posługiwał się językiem Marii Zacharowej, rzeczniczki rosyjskiego MSZ, to powoduje, że PiS sam ustawia się w narożniku. Kopia zawsze albo prawie zawsze będzie gorsza od oryginału. Z jednej strony mamy Konfederację, której antyukraińska i antyeuropejska narracja jest bardziej rozwodniona, ale zawiera również elementy mentzenowskiego neoliberalizmu jaskiniowego, jak go nazywam. Z drugiej strony jest Grzegorz Braun: otwarcie antyukraiński, antysemicki i antyeuropejski.

Odejście ponad 30 posłów pokazuje siłę Morawieckiego czy jednak też jego porażkę? Przecież cały czas mówił, że jest otwarty i chce się porozumieć z Kaczyńskim.
To takie tokowanie polityków, które pojawia się w podobnych sytuacjach. Jedni mówią: „Chcemy jedności, nikogo nie wypychamy". Drudzy: „Chcemy funkcjonować w różnobarwnej formule". Potem z jednej strony słyszeliśmy o lojalkach i buntownikach, a z drugiej o intrygantach, czyli Kurskim i Sasinie, którzy mieli uknuć intrygę przeciw Morawieckiemu i jego stronnikom. Taki język służy budowaniu opowieści. Jeśli więc pyta pani, kto wygrał, to na tę chwilę, moim zdaniem, jest remis. Kaczyński i jego stronnicy nie przedstawili sensownej opowieści uzasadniającej rozłam, a Morawiecki jeszcze nie wymyślił się na nowo. Ma jednak otwartą przestrzeń i sprzyja mu kalendarz. Nie sądzę, żeby jego środowisko zostało zaskoczone. Oni się do tego przygotowali. Myślę, że zapowiadany piknik może być momentem, w którym Morawiecki uruchomi projekt polityczny. Projekt mający już umocowanie w Sejmie: nie musi zaczynać od zera, bo ma gotowych posłów i może stworzyć klub parlamentarny. Zyskuje rok na instytucjonalne zakorzenienie.
Przy swoich zasobach finansowych może spokojnie budować tę inicjatywę. Pierwsze sondaże pokażą jej możliwości, ale przed Morawieckim jest rok intensywnej pracy. PiS w radykalnej formule trafia przede wszystkim do najbardziej zaangażowanej części swojego elektoratu. Badania wyraźnie pokazują, że umiarkowani wyborcy PiS nie akceptują skrętu Kaczyńskiego w prawo. Moim zdaniem nie powiedzie się także gra Kaczyńskiego i Nawrockiego na osłabienie Brauna. W wyborach prezydenckich uaktywniła się grupa ludzi, która będzie głosowała na Brauna, bo z różnych powodów podoba jej się jego skrajnie antysemicka, ukraino-fobiczna i antyeuropejska retoryka. Cokolwiek zrobiliby Kaczyński i Nawrocki, nie zatopią Brauna.

Dlaczego Kaczyński postawił sprawę na ostrzu noża? Czy tak naprawdę chodziło o przywództwo w PiS? I czy prezes pokazał, że w pełni kontroluje partię?
Oczywiście, że chodziło o przywództwo. Partia bardzo mu się rozdyskutowała. Zaczęło się to już po wyborach, kiedy wyparowały bąbelki sukcesu. Ktoś z frakcji Morawieckiego słusznie zauważył, że po wyborach parlamentarnych nie odbyła się w PiS prawdziwa dyskusja. Wszystko przyklepano i przypudrowano. Przez rok poszczególne środowiska podciągały odwody i próbowały wymyślić się na nowo. Później nowego tlenu dało im zwycięstwo Nawrockiego i znów pojawiły się bąbelki sukcesu. PiS nie wyciągnęło jednak wniosków z porażki w wyborach parlamentarnych. Zwycięstwo było iluzoryczne. Cóż z tego, że partia zajęła pierwsze miejsce, skoro nie miała zdolności koalicyjnej i nie utworzyła rządu? Formalnie wygrała, ale w istocie poniosła dotkliwą klęskę.

Co teraz stanie się z PiS i ludźmi Morawieckiego? Czy byli posłowie PiS stworzą własny klub parlamentarny? Czy Morawiecki powoła nową partię?
Myślę, że zrobią jedno i drugie. Sam klub nie wystarczy. Morawiecki musi teraz intensywnie pracować i doskonale o tym wie. W swoim otoczeniu ma Michała Dworczyka, Marcina Horałę i kilku młodych polityków, którzy wiedzą, jak robi się politykę. Oczywiście robi się ją w mediach, tradycyjnych i społecznościowych, ale przede wszystkim w terenie. Trzeba objechać 41 okręgów sejmowych i prowadzić kampanię.

Czy Rozwój Plus ma struktury, ludzi i pieniądze?
Myślę, że ma pieniądze i nie chodzi wyłącznie o prywatny majątek Morawieckiego. Gdyby nie miał zaplecza finansowego, nie zdecydowałby się na taką akcję. Nie wiem natomiast, jak wygląda geografia jego wpływów. W wielu okręgach Kaczyński ma jednak sporą wyrwę. Marcin Horała zdobył w ostatnich wyborach parlamentarnych prawie 48 tysięcy głosów. Piotr Müller uzyskał bardzo dobry wynik w wyborach

eprasa.pl 3daaa9cb0a

do Parlamentu Europejskiego. Oczywiście nie jest tak, że politycy mogą zatrzymać swoich wyborców na własność; ludzie mogą się najróżniej zachować. Morawiecki dysponuje jednak kapitałem politycznym, na którym może budować. Nie zaczyna od zera, jak Szymon Hołownia, który musiał organizować kongresy programowe i tworzyć całe środowisko. Morawiecki właściwie ma je już zbudowane, może je natomiast poszerzać. W jednym z sondaży jego hipotetyczna partia uzyskiwała około 7 procent poparcia, co przekładało się na mniej więcej 25 mandatów. A wybory mogą się rozstrzygnąć na żyletki. Z jednej strony będą Konfederacja, Braun i Kaczyński, z drugiej Tusk, PSL i Lewica, a między nimi Morawiecki. Jeżeli dobrze to rozegra, może zostać języczkiem u wagi.

Czy wszyscy odchodzący pozostaną przy Morawieckim? Może część się przestraszy i wróci do PiS?

Nie wykluczałbym tego. Dziwi mnie na przykład obecność Ryszarda Terleckiego. Uważałem go, obok Mariusza Błaszczaka, Karola Karskiego, Marka Suskiego czy Marka Kuchcińskiego, za jednego ze starych wiarusów i towarzyszy Kaczyńskiego. Być może Terleckiemu znudziło się granie w teatrze albo orkiestrze pod dyktando Jarosława Kaczyńskiego. A może po prostu chce odejść na polityczną emeryturę. Jest jednak twarzą i symbolem tego środowiska, dlatego jego obecność w gronie stronników Mateusza Morawieckiego ma znaczenie. Nie wiemy też, na co panowie się umówili. To kuchnia polityczna, o której być może nigdy się nie dowiemy. Chyba że Ryszard Terlecki i Mateusz Morawiecki napiszą kiedyś pamiętniki i opowiedzą o tych sprawach. Na razie mamy zamieszanie i chaos komunikacyjny, a do tego są wakacje. Jedna i druga strona będzie jeszcze wszystko analizowała. Kaczyński spróbuje ograniczyć straty, natomiast Morawiecki musi się budować. Zapowiadany piknik jest z tego punktu widzenia dobrym pomysłem, bo przyciągnie uwagę mediów. Proszę zauważyć, że w krótkiej perspektywie wszystkie problemy koalicji dotyczące ochrony zdrowia zostały całkowicie przykryte, dziś, jutro i pojutrze.

No właśnie, kto najbardziej skorzysta na rozłamie w PiS: Konfederacja czy koalicja rządząca?

Każdy po trosze. W krótkiej perspektywie na pewno koalicja, bo Tusk może zająć się pożarami, które próbuje, mniej lub bardziej skutecznie, gasić, chociażby w ochronie zdrowia. Pojawiają się ustawy i próba zracjonalizowania systemu. Astronomiczne kwoty, które zarabiali niektórzy lekarze, wyższe niż w najlepszych klinikach w Bostonie czy Nowym Jorku, były postawieniem sprawy na głowie. To temat, który mógł rzeczywiście wysadzić Platformę w powietrze. Ośmiorniczki są przy tym niczym. Teraz PiS będzie się zajmowało sobą, podobnie jak Morawiecki, więc Tusk obiektywnie zyskuje. Ale, jak pani słusznie zauważyła, skorzysta także Konfederacja. Jej politycy będą mogli powiedzieć: „Zobaczcie, stare dziady się kłócą, a my jesteśmy młodzi i idziemy po władzę w Polsce. Dość rządów seniorów".

Czy tak podzielona prawica ma szansę zwyciężyć w wyborach w 2027 roku?

Moim zdaniem coraz mniejszą. Złośliwie powiedziałem w jednej z telewizji informacyjnych, że to trochę powtórka z Konwentu św. Katarzyny z lat 90. Prawica mnożyła się wtedy przez podział albo, jak kto woli, jednoczyła się przez podział. Aż tak źle jeszcze nie jest, bo w tamtym konwencie uczestniczyło ponad 20 ugrupowań, o ile dobrze pamiętam. Później wyłoniła się z tego AWS. Był to też chyba jedyny okres, kiedy Jarosław Kaczyński nie dostał się do Sejmu. Wtedy sformułował słynne TKM. Pamięta pani?

Teraz k... my.

Dokładnie. Kaczyński występował wtedy w roli świętoszka, natomiast później jego ludzie doprowadzili modus operandi dotyczący spółek Skarbu Państwa do perfekcji. Wracając jednak do pytania: zyskuje Konfederacja, ale zyskuje również Braun, ponieważ dostaje czas na rozwijanie swojego środowiska. Coraz więcej ludzi się wokół niego kręci. Zapewne prowadzą badania i sprawdzają, jak odbierane są różne, przepraszam za eufemizm, wyskoki Brauna. Czy przyciągają uwagę, czy nie, niezależnie od tego, czy dzieją się w Wilnie, w Polsce, czy gdziekolwiek indziej. Braun ma wygodną sytuację. Jest europarlamentarzystą, ma pewną posadę i duże pieniądze. Z informacji pochodzących od osób znających to środowisko wynika, że kręci się wokół niego coraz więcej różnych dziwnych ludzi. Są wśród nich również osoby nastawione na własną karierę, dysponujące pewnymi zasobami finansowymi i zapewne nie tylko finansowymi.

Czy przed samymi wyborami Kaczyński i Morawiecki mogą jednak ponownie usiąść do rozmów?

Bardzo w to wątpię. Morawiecki przez cały czas grał w tej orkiestrze drugie skrzypce. Myślę, że nieraz był upokarzany, również publicznie, może nie aż tak jak Andrzej Duda, ale jednak. Wiem, że jako politolog nie powinienem nadmiernie psychologizować, lecz sądzę, że Morawieckiemu znudziło się granie w orkiestrze pod batutą Kaczyńskiego i w sztuce napisanej przez prezesa PiS. Wybrał własną polityczną drogę. Jest też niezależny finansowo. Jeśli chodzi o jego sytuację prawną i ewentualne zarzuty, trzeba poczekać. Nie wiem, czy zostały już ostatecznie postawione. Myślę jednak, że przez rok pozostały do wyborów niewiele się w tej sprawie zmieni. Platforma będzie oczywiście przedstawiała Morawieckiego jako uosobienie wszystkich grzechów PiS, zwłaszcza z okresu dwóch kadencji rządów tej partii. To gra na mobilizowanie własnego elektoratu i odbieranie wyborców Hołowni. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, żeby po wyborach politycy Platformy usiedli z Morawieckim i się porozumieli.

Kto po tym konflikcie ma większe szanse zostać kandydatem prawicy na premiera?

To dobre pytanie. Jeżeli Kaczyński będzie dalej brnął w kandydaturę Czarnka, popełni błąd. Czarnek może zostać kolejnym premierem z tabletu, jak Piotr Gliński. Gliński zacisnął zęby i ostatecznie został wicepremierem, ale skutecznie się ośmieszył, szczególnie w moim środowisku akademickim. Być może jego życiową ambicją było objęcie tej funkcji, więc cel osiągnął. Wystawienie Czarnka byłoby jednak błędem. Nie wykluczam, że Kaczyński grał jego kandydaturą i traktował go narzędziowo. Lech Wałęsa mówił kiedyś barwnie, że zmienia premierów jak zderzaki. Tym bardziej Czarnek nie jest dziś żadnym premierem. Nie mamy brytyjskiego systemu z gabinetem cieni, dlatego opowieść o premierze Czarnku jest jedynie sprawną narracją, która ma wejść ludziom do głów. To dzielenie skóry na niedźwiedziu.

Jaki będzie pierwszy konkretny test siły Morawieckiego?

Pierwszym testem będzie rzeczywiste uruchomienie projektu. Morawiecki nie będzie z tym zwlekał. W przyszłym tygodniu powinniśmy zobaczyć pierwsze działania. Bardzo sprzyja mu zapowiadany piknik. Ma się tam pojawić kilka powszechnie rozpoznawalnych postaci. Zapewne nie wejdą wprost do nowego ugrupowania, żeby nie zamykać sobie innych możliwości, ale mogą stworzyć grupę ekspercką czy radę programową, nazwa jest nieistotna. Ich autorytety i twarze mają przyciągać wyborców. Morawiecki ma klub, a więc również posłów dysponujących własnymi zasobami w okręgach. Kaczyński został natomiast osłabiony. W ciągu roku nie odbuduje pozycji we wszystkich okręgach, w których stracił parlamentarzystów. PiS musi więc odrabiać straty, a jednocześnie jest podgryzane, podskubywane, być może za chwilę nawet pożerane przez Konfederację oraz Konfederację Korony Polskiej Brauna. Kaczyński stracił coś, co przez lata było jego dogmatem: przekonanie, że po prawej stronie PiS może istnieć tylko plankton. Dziś wyrosła mu tam realna konkurencja. Jednocześnie partia traci wyborców z umiarkowanego centrum: obyczajowo konserwatywnych, ale bardziej liberalnych gospodarczo i mimo wszystko proeuropejskich. Kiedy PiS przesunęło się mocno w prawo, ci wyborcy zaczęli orientować się raczej na Morawieckiego niż na Czarnka.

Jesteśmy świadkami końca Prawa i Sprawiedliwości w kształcie, który znamy od ponad dwóch dekad? Jak może wyglądać polska prawica po tym rozłamie?

Jesteśmy świadkami końca pewnego etapu, ale nie końca PiS, jak będą zapewne sugerować jego przeciwnicy. Uruchomią narrację, że Kaczyński nie zdołał utrzymać partii i takie jest wilcze prawo przeciwników politycznych. Gdyby podobny rozłam nastąpił po drugiej stronie, PiS wytoczyłoby najcięższe działa i przez kilka miesięcy budowało na tym swoją opowieść. Pod tym względem ta partia jest bardzo skuteczna.
Na prawicy dzieją się jednak rzeczy nowe i ciekawe. Populiści mają duży elektorat, ale jest on podzielony między kilka partii. Zaczyna to przypominać Włochy, gdzie funkcjonują ugrupowania Giorgii Meloni, Matteo Salviniego i inne formacje prawicowe. Potrafiły się jednak porozumieć i utworzyć rząd.
Czy w Polsce czeka nas powtórka z rozrywki? Nie wiem. Jeżeli Morawieckiemu się uda, będzie rozdawał karty, być może także po wyborach. Dla Kaczyńskiego byłoby to dodatkowe upokorzenie. To on wprowadził Morawieckiego do wielkiej polityki, uczynił go premierem, chociaż były prezes banku pochodził z drugiej strony politycznego obozu i wcześniej był doradcą Tuska. W środowisku PiS jest to stygmat, pieczątka, niemal tatuaż, który człowiek nosi. Z drugiej strony Kaczyński skutecznie wyprał wielu byłych komunistów i ich przeszłość mu nie przeszkadzała. Jeżeli PiS po raz drugi przegra wybory, nie musi to oznaczać końca formacji, ale przywództwo Kaczyńskiego z pewnością zostanie zakwestionowane. Przy słabym wyniku posłowie z trzecich i czwartych rzędów nie zdobędą mandatów. Do Sejmu wejdzie twarde jądro PiS i najbardziej lojalni politycy. Pozostali będą szukali dla siebie miejsca. Nie chcę wróżyć kolejnych buntów, ale właśnie dlatego Kaczyński musiał ten konflikt przeciąć. Jak na jego standardy trwał on bardzo długo. Kiedyś podjąłby stanowczą decyzję znacznie wcześniej. Ten spór ośmiela innych. W klubie, który nawet po odejściu ludzi Morawieckiego nadal będzie bardzo duży, każdy ma własne plany i strategie.
Na pierwszym planie widzimy kilkunastu polityków, ale za nimi są dziesiątki innych osób, które wiążą z polityką swoje życie. Nie wykluczam, że będą kuszone przez inne ugrupowania. Możliwe są przejścia do Brauna, do Konfederacji, a nawet do partii obecnej koalicji. Jeżeli rozpoznawalny polityk dostanie dobre miejsce na liście po drugiej stronie i wybierze własną karierę, możemy zobaczyć jeszcze wiele takich transferów.

REKLAMA 0211461412



eprasa.pl 3daaa9cb0a

KRYZYS PALIWOWY W ROSJI

Mobilizacja, kryzys, drożyzna. Czy Rosjanie wyjdą na ulice?

Wiele świadczy o tym, że mimo wielu obecnych problemów, przede wszystkim kryzysu paliwowego Władimir Putin szykuje się nie do negocjacji, a do eskalacji konfliktu z Ukrainą

Grzegorz Kuczyński



FOT. IMAGO/KIRILL ZYKOV/IMAGO STOCK AND PEOPLE/EAST NEWS

Ukraińskie ataki na rosyjskie rafinerie spowodowały potężny kryzys paliwowy w Rosji. Od tygodni przed stacjami tworzą się długie kolejki

W niedawnym wywiadzie Dmitrij Pieskow, rzecznik prasowy Kremla, stwierdził, że na Ukrainie „wszystko zaczęło się jako specjalna operacja wojskowa, ale teraz przerodziło się w prawdziwą wojnę".

Od tamtej pory pojawia się coraz więcej sygnałów, że Moskwa przygotowuje się raczej do eskalacji konfliktu niż do negocjacji: doniesienia, że Kreml postanowił zintensyfikować działania wojenne, spodziewana mobilizacja po wrześniowych wyborach do Dumy, projekt ustawy wymagającej wiz wyjazdowych, aby uniemożliwić mężczyznom w wieku poborowym opuszczenie Rosji, wreszcie rozbudowa sił zbrojnych Kozaków

Mobilizacja na jesieni

Powszechnie spekuluje się, że Putin ogłosi mobilizację na pełną skalę po wrześniowych wyborach do Dumy. Dyktator formalnie nie potrzebuje zgody społeczeństwa, by rządzić, ale wybory nadal sygnalizują moskiewskiej elicie, że opinia publiczna w szerokim zakresie akceptuje status quo, co utrudnia elitom uzasadnienie odejścia od obecnego kursu.

Słowa Pieskowa mogły być balonem próbnym mającym na celu przygotowanie gruntu pod taki ruch. Reżim stosował już wcześniej takie taktyki rozpoznawcze, aby ocenić reakcję przed pełnym wdrożeniem.

Przedstawiono też projekt ustawy, który nakładałby na Rosjan obowiązek uzyskania wizy wyjazdowej w celu opuszczenia kraju. Chociaż ustawa początkowo dotyczy „nieprzyjaznych krajów", do tej listy można by dodać każde państwo, które odmówi odesłania obywateli rosyjskich do służby wojskowej.

Biorąc pod uwagę masowy exodus mężczyzn w wieku poborowym, który nastąpił po częściowej mobilizacji w 2022 r., Kreml może przygotowywać mechanizm prawny mający na celu powstrzymanie przyszłych poborowych przed opuszczeniem kraju.

Reżim szykuje do walki tysiące Kozaków

Kreml stworzył ogólnokrajową sieć organizacji kozackich, które pełnią wiele takich samych funkcji, jak agencje obrony cywilnej w innych krajach – od bezpieczeństwa informacyjnego po ewakuacje w odpowiedzi na zagrożenia ekologiczne lub militarne.

Już teraz w wojnie uczestniczą kozackie bataliony ochotnicze BARS. Jednocześnie postępują szybko prace nad utworzeniem kozackiej rezerwy mobilizacyjnej, co da Rosji możliwość wysłania 60 000 świeżych żołnierzy do dowolnego nagłego konfliktu. Inicjatywy te można interpretować jako przygotowania do eskalacji, choć przewidywanie kierunku działań Rosji z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem wiąże się z dużą niepewnością.

Poparcie dla Putina spada

Poziom poparcia dla działań rosyjskiego dyktatora Władimira Putina znacznie spadł w kontekście przedłużającej się wojny przeciwko Ukrainie, zaostrzenia cenzury cyfrowej oraz kryzysu paliwowego . Zgodnie z najnowszymi danymi kontrolowanego przez państwo Ogólnorosyjskiego Centrum Badań Opinii Publicznej, na dzień 12 lipca działania Putina popierało 65,1% ankietowanych. Jednocześnie 23,4% respondentów otwarcie stwierdziło, że nie popiera jego pracy na stanowisku prezydenta.

Podobne tendencje, jak zauważa magazyn „Newsweek", odnotowują dwa inne duże ośrodki sondażowe: Centrum Lewady i Fundacja Opinia Publiczna (FOM).

Po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji Federacji Rosyjskiej na Ukrainę poparcie dla Putina utrzymywało się głównie w przedziale od około 78% do 85%. Jeszcze we wrześniu 2025 roku jego działania popierało 77,8% Rosjan.

Cenzura internetu

Jednym z czynników niezadowolenia stało się dalsze zaostrzenie kontroli nad internetem. Kreml rozszerzył uprawnienia Roskomnadzoru i ograniczył działanie zagranicznych platform oraz komunikatorów, próbując przekierować użytkowników na wspieraną przez państwo aplikację MAX.

Jednak w czerwcu firma Apple usunęła aplikację MAX z App Store, a następnie zniknęła ona również z Google Play. W związku z tym miliony Rosjan straciły możliwość pobierania lub aktualizowania tej platformy, co spowodowało zakłócenia w codziennym życiu i pracy użytkowników. Rosyjskie władze zostały zmuszone do częściowego złagodzenia ograniczeń w internecie z powodu rosnącego niezadowolenia. Dzieje się to w przededniu wyborów do Dumy Państwowej, przed którymi Kreml stara się zademonstrować rzekomo wysokie poparcie dla Putina i partii Jedna Rosja.

Na jesieni ludzie wyjdą na ulice?

Ukraińskie ataki dronów na rosyjską infrastrukturę naftową poważnie zakłóciły produkcję paliw; produkcja benzyny wynosi obecnie 65 procent średniego letniego zużycia. Potężne niedobory spowodowały wielogodzinne kolejki na stacjach benzynowych, zamknięcia stacji oraz co najmniej dwa zgony osób starszych czekających w kolejce. To może być poważny polityczny problem dla Władimira Putina i obecnego reżimu.

W 2025 r. Rosja była trzecim co do wielkości producentem ropy naftowej na świecie. Systematyczne ataki ukraińskich dronów na rafinerie ropy naftowej w ciągu ostatniego roku, sięgające na wschód aż do Omska na Syberii, znacznie osłabiły jednak infrastrukturę paliwową tego kraju.

Kryzys paliwowy powoduje coraz poważniejsze problemy gospodarcze. Niedobór paliwa zakłóca przepływ towarów między regionami, powodując inne niedobory, które prowadzą do wzrostu cen i nasilają napięcia społeczne.

Władze wzywają Rosjan do „cierpliwości", ale apele te nie przynoszą efektu, zwłaszcza wśród osób mieszkających poza miastami, które są uzależnione od benzyny, aby dotrzeć do pracy, placówek medycznych i sklepów. Niektóre regiony wprowadziły zakaz dostaw benzyny w kanistrach, uniemożliwiając mieszkańcom zasilanie generatorów lub korzystanie z piłłańcuchowych do przygotowywania drewna opałowego. Kilka regionów skarży się, że nie mogą zebrać plonów z powodu niedoborów paliwa. Jesienią Rosji grozi kryzys żywnościowy.

Kryzys paliwowy będzie najpoważniejszym sprawdzianem dla rosyjskiego rządu od początku rządów Putina. Na ich wczesnym etapie narracja Kremla odwoływała się do powszechnych niedoborów żywności z czasów sowieckich i czasów Jelcyna, aby umocnić poparcie dla reżimu. Kreml twierdził, że Putin zapewnił obfitość towarów w pierwszych dwóch dekadach swoich rządów.

Ta poprawa sytuacji gospodarczej wynikała jednak przede wszystkim z gwałtownego wzrostu światowych cen ropy na początku XXI wieku. Teraz, gdy Ukrainie udało się trafić wszystkie 10 największych rosyjskich rafinerii ropy, dobrobyt rosyjskiego państwa opartego na ropie może się załamać.

Lodówka czy telewizor – co wygra wśród Rosjan?

Lodówka może w końcu zatriumfować nad telewizorem, ponieważ rzeczywistość materialna coraz bardziej podważa narrację Kremla. „Umowa społeczna" wczesnego putinizmu polegała na tym, że obywatele trzymali się z dala od polityki, a w zamian rząd zapewniał Rosjanom mniej więcej znośny standard życia. Dzisiaj setki tysięcy poległych Rosjan sprawiają, że polityki Putina nie da się zignorować. Jeśli na dodatek w nowoczesnych rosyjskich miastach zaczną tworzyć się długie kolejki po podstawowe towary, jak za czasów Związku Sowieckiego i ery Jelcyna, reżim będzie bardziej narażony na upadek.

Zakończenie wojny powstrzymałoby ukraińskie ataki dronów na rosyjskie rafinerie, umożliwiając im wznowienie produkcji. Większość Rosjan nie wyciąga jednak – przynajmniej na razie - tego logicznego wniosku jako sposobu na zakończenie kryzysu, przynajmniej publicznie. Narracja Kremla nadal kładzie nacisk na eskalację wojny.

20 września w Rosji odbędą się wybory do parlamentu federalnego i w wielu regionach. Oprócz deputowanych do Dumy Państwowej „wybranych" zostanie 11 gubernatorów i 39 parlamentów regionalnych. Nie można nazwać tego spektaklu prawdziwymi wyborami. Kreml, pod różnymi absurdalnymi pretekstami, już teraz zakazuje jakimkolwiek siłom opozycyjnym udziału.

Jeśli rosyjskie władze wykluczą wszelkie legalne, parlamentarne formy wyrażania protestu, obywatelom pozostaną jedynie rewolucyjne środki w obliczu narastającego kryzysu gospodarczego.

Pytanie, czy ukształtowane w dużej części podczas ćwierćwiecza rządów Putina społeczeństwo będzie na tyle zdeterminowane, by wyjść na ulice.

A jeśli nawet, to czy przy braku poważniejszej opozycji i brutalności struktur siłowych oraz ograniczaniu dostępu do internetu, może to być prawdziwie śmiertelne dla reżimu wyzwanie?

eprasa.pl 3daaa9cb0a

OPINIE

publicysta



Mariusz Leśniewski:
„Odyseja": los człowieka i powtarzalność historii

Agamemnon, król Myken i Argos, dowódca wyprawy przeciwko Troi, niczym Darth Vader w czarnej zbroi i hełmie, który z powodzeniem mógł się pojawić w którymś z epizodów „Gwiezdnych Wojen" to symbol nowej „Odysei", którą opowiedział Christopher Nolan. Reżyser dokonał autorskiej „wiwisekcji" na klasycznym dziele, wywołując (może i zaplanowane z góry) emocje i kontrowersje. Z klasycznego eposu wyciął pasujące mu fragmenty, pozszywał, dodał teatralne stroje, trochę efektów specjalnych (patrz Polifem), garść refleksji egzystencjalnych i cywilizacyjnych, tworząc epickie dzieło, naszpikowane symbolami i odniesieniami do współczesności. Jakie czasy, taki Homer i taka „Odyseja, która nie jest antyczna, lecz uniwersalna.

Grecy jeszcze przed premierą oburzali się, że film Nolana kradnie im kulturowe dziedzictwo, a Helena nie mogła być czarnoskóra, bo była klasyczną pięknością (cokolwiek to znaczy). Czarna Helena (Lupita Nyong'o) stała się wręcz obsesją w sporej części komentarzy poprzedzających pokaz „Odysei". Po premierze opinie krytyków są różne, także w Grecji: od pozytywnych aż po drugzogocące. Najdosadniej obraz potraktował dziennik „Ethnos": „Trzygodzinne ziewnięcie i koń trojański wymierzony w naszą estetykę – Homer? Nieobecny!". Nieprzypadkowo przywołuję właśnie ten tytuł, bo jest znamienny: w nowej „Odysei" nie ma Homera, i dobrze, bo homeryckie przedstawienie losów Odysa byłoby nudną ramotą. W eposie władca Itaki to spryciarz, który podstawił Trojanom niezłą świnię – przepraszam – konia, doprowadzając do upadku miasta. Potem, borykając się z gniewem części bogów, wracał do swojej Itaki, przeżywając wiele przygód, ale w sumie zadowolony z siebie i bez poczucia winy. Odyseusz – „mąż wielce obrotny" – zawsze wyjdzie na swoje. Przed premierą filmu odświeżyłem sobie epos Homera i przyznam, szczerze, jego Odyseusz jest niczym antyczny „maczo", ale wiadomo... takie były czasy, gdy mykeńscy wojownicy walili się mieczami z brązu, a potem zażywali rozkoszy z nałożnicami. Pewnie „klasyczne" przedstawienie „Odysei" znalazłoby swoich fanów: Odys mógłby wyglądać jak Brad Pitt z „Troi" Wolfganga Petersena (tam króla Itaki zagrał Sean Bean), a jego podróż byłaby tylko pasmem kolejnych trudności aż do szczęśliwego finału. Przy okazji przydałoby się parę erotycznych scen, a piękne aktorki grałby te nimfy, syreny i inne Ateny.

Ale po co komu taka „Odyseja"? Takie filmy już widzieliśmy. Świetnie, że Petersen zrobił swoją „Troję", gdzie Achilles Pitt wygląda jak trener fitness, Helenę gra posągowa Diane Kruger (blondynka, oczywiście), a zbroje po dekadzie oblegania Troi nadal lśnią w słońcu. To się naprawdę świetnie ogląda, to też epickie dzieło, choć dalekie od „Illiady", ale wystarczy już pięknych Achillesów i Helen, bo starożytny świat wcale piękny nie był. Był za to okrutny, krwawy, no i brudny, bo trudno, by na mykeńskim okręcie działały toalety i taki właśnie świat serwuje nam Nolan, gdzie Grecy siedzą w nieczystościach w trojańskim koniu. Bliższy jest w tym postrzeganiu antyku historii niż ci, którym starożytność kojarzy się tylko z bielą doryckich kolumn (nie były wcale białe). Jego Odyseusz jest wojownikiem z krwi i kości, który doprowadza do upadku Troi. U Nolana w jej zniszczeniu nie ma niczego wzniosłego: są trupy, gwałty, podrzynanie gardeł cywilom, a potem dym nad zniszczonym miastem. Tak musiały naprawdę wyglądać starożytne wojny. Odys, którego świetnie zagrał Matt Damon, to podstarzały mężczyzna z wyrzutami sumienia, a nie homerycki cwaniak kuty na cztery nogi. Atena, który pojawia się w jego wizjach, ma twarz ściętej w Troi kapłanki, a nie pięknej bogini. Agamemnon stojący w bramie Troi staje się symbolem destrukcji i dominacji, tak samo symboliczna i jednocześnie dosadna jest scena przemienienia towarzyszy króla Itaki w świnie.

„Odyseja" staje się opowieścią na miarę naszych czasów, gdy znowu toczą się brutalne konflikty, a ludzie podrzynają sobie gardła – nie ma co opowiadać antycznych mitów w klasyczny sposób, bo będzie to śmieszne. A obrazowi Nolana można wiele zarzucić, ale na pewno nie to, że jest śmieszny. Są słabizny, dłużyzny: Menelaos niczym Robin Hood, a zalotnicy Penelopy wyglądają jakby żywcem wyjęto ich z „Gry o tron", ale i klasyczna „Odyseja" obfituje w jeszcze gorsze mielizny. Poczytajcie...

Wiem: Homer wielkim poetą był, ale przecież jego „Odyseja" to nie historyczna kronika, tylko opowieść, więc opowiedzmy ją na nowo. Nolan opowiada nam o powtarzalności historii i uniwersalności ludzkich losów: nie ma tym nic arcyodkrywczego, ale jest siła. A ja patrząc na twarz Odysa miałem przed oczyma oblicze Andrieja Sokołowa z „Losu człowieka" Siergieja Bondarczuka. Nie ma co porównywać tak odległych dzieł, ale Odys Matta Damona nie jest tylko weteranem ze stresem pourazowym: to człowiek na końcu swojej drogi, świadomy błędów i przegranych.

Nowa „Odyseja" nie jest filmem przyjemnym, a król Itaki wyruszający na zachód z Penelopą to nie happy end, tylko symbol przemijania potęgi, chwały i życia. Kończy się epoka brązu, nastanie era żelaza: nasze czasy też zdają się przejściowe i nikt nie wie, co nastąpi. Ten niepokój przenika film Nolana.

Zaś ciemnoskóra Helena... Każdy ma Helenę na miarę swoich oczekiwań i fantazji. U Nolana jest tylko symbolem, że nie o kobietę walczono pod Troją. Tam walczono o dominację i szlaki handlowe. Tak jak teraz.

A Agamemnon ma tylko inne oblicze.

publicysta



Dariusz Olejniczak:
O co się kłócimy, kiedy kłócimy się o „Odyseję"?

Christopher Nolan to naprawdę swój chłop! Zrobił w ostatnim czasie dla Polaków całkiem dużo. Dał nam sposobność do kolejnej ogólnonarodowej naparzanki. Tym razem kłócimy się o „Odyseję". Tę filmową, która właśnie wyszła spod ręki brytyjskiego reżysera.

Dla jednych to gniot i skalanie Homerowego oryginału, dla innych współczesny epos o kondycji świata. Dla wielu nadęte świętokradztwo, dla innych filmowe arcydzieło z logo IMAX-a w tle. Dla tych i owych politpoprawny wymysł, a dla tamtych przełożony na język współczesności antyk. I tak dalej, i tak dalej...

Z dziką radością wskakuję w ten rwący nurt i dokładam swoje trzy grosze, bo skoro jest okazja, to czemu nie miałbym zabrać głosu, skoro mówiło już tylu innych...

I tu muszę przyznać, że nie rozumiem fenomenu sporu, któremu poświęciłem wstępny akapit. Kłócimy się bowiem o „Odyseję", a przecież to w ogóle nie jest „Odyseja".

To, owszem, monumentalny film, z głośną i całkiem niezłą muzyką oraz nieszczególnie porywającą grą aktorską większości obsady. To także ciekawe plenery rozsiane od pustkowi Islandii, przez zamki Szkocji i piaski Sahary Zachodniej (wciąż pod marokańską okupacją), po greckie pejzaże. Jeśli ktoś poszedł do kina, nie znając literackiego pierwowzoru, to może i lepiej, bo bez jakichkolwiek wstępnych oczekiwań mógł pozwolić ponieść się fabule i klimatowi rozpiętemu między światem fantasy a horrorem z wyższej półki. To film, jeśli odejmiemy mu ambicji bycia „Odyseją", znośny. Po prawdzie jednak, nie arcydzieło.

Jeśli natomiast ktoś chciał zobaczyć obraz nawiązujący nieco bardziej rzetelnie do greckiego eposu, to mógł się rozczarować. Piszę, że mógł, bo znam kilku naprawdę znakomitych Fachowców (przez duże F) od antycznej literatury i od Homera w szczególności, których film zachwycił. Z mojego pułapu „znawcy" pośledniego szczebla na ten zachwyt się nie załapałem.

Dlaczego? Dlatego, że – jako się rzekło – „Odysei" w tej „Odysei" było niewiele. I nie w tym rzecz, że zabrakło miejsca dla wielu literackich postaci. Nie w tym kłopot, że wątki oryginalne zachowano, tyle że nie wszystkie. Nic to nawet, że w obsadzie Greków nie uświadczysz, a jest to obsada wieloetniczna. Mój kłopot z filmem Nolana dotyczy tego, że Nolan wykorzystał, niejako skolonizował, antyczne dzieło, posłużył się marką.

Ale po kolei. Nolan, co nie dziwi, sięgnął po narrację nielinearną i mocno skrócił całość opowieści, bo rzecz jasna, nie był w stanie zmieścić swojej „Odysei" (która nią nie jest) w czasie znośnym dla widzów zamkniętych w sali kinowej. Dokonane przez niego skróty nie szkodzą filmowi jako takiemu, natomiast sprawiają, że nadanie tej produkcji tytułu wprost zaczerpniętego z literatury jest nie w porządku. Wobec Homera, wobec mitu, wobec widzów.

Nie miałbym uwag, gdyby film nosił inny tytuł, sugerujący wprost grubą interpretację, parafrazę, inspirację. No ale „Odyseja"? Znieść można pojawienie się na ekranie Sinona znanego z „Eneidy" Wergiliusza, nawet jeśli to na nim zasadza się swoista klamra narracyjna zbudowana przez Nolana, a której oczywiście u Homera nie ma. Swoją drogą, filmowy Sinon to ofiara, w „Emeidzie" oszukuje Trojan. Ale jaka to „Odyseja", skoro nie ma w niej uczty u Feaków? Skoro kwiat lotosu podaje Kaliope, a z Kirke Odyseusz i jego ludzie mają do czynienia bodaj jeden dzień? Co to za „Odyseja", w której Polifem nie wzywa bezskutecznie na pomoc swoich braci, gdy go „morduje zdradą Nikt" ? I dlaczego widz nie dowiaduje się z tego filmu, że tułaczka Odysa to wątpliwa zasługa jego pychy, bo nie wytrzymał i wyjawił cyklopowi swoje imię? Gdzie miech z wichrami, podarek od Eola? Gdzie duchy niewiast? Co to za „Odyseja", w której zalotnik Polibus rzuca w stronę żebraka-Odyseusza krzepkie „sp.....laj"? I wreszcie, co to za „Odyseja", której finał jest napisaną dziś, zupełnie inną niż pierwowzór, historią. Historią, której Hollywood wstydzić się nie musi, za to Homer w grobie na wyspie Ios się przewraca. Nolan poszedł na skróty za bardzo. To nie dekonstrukcja, to dewastacja.

Domyślam się, że ów filmowy finał stanowi dopełnienie przesłania płynącego wprost z serca Christophera Nolana do całej ludzkości. Po to, by opowiedzieć o współczesnych problemach pogrążonej w kryzysie wartości cywilizacji Zachodu, reżyser i autor scenariusza wykorzystał epos Homera. Uznał go za zapis pamięci o schyłku świetności cywilizacji mykeńskiej. Miał do tego prawo. Interpretacja zakłada, że Homer upatrywał przyczyn upadku w sprzeniewierzeniu się zasadzie kseni – gościnności, co przejawiło się m.in. zamianą daru, drewnianego konia, w broń. Nolan widzi to podobnie w odniesieniu do współczesnego kryzysu, choć oczywiście atrybuty kseni się zmieniły. Dziś są nimi prawo międzynarodowe, współpraca, otwarte granice, wymiana technologiczna itp. Ludzkość wszystko to potrafi obrócić przeciw sobie.

Temu przesłaniu Nolana kibicuję, nie zmienia to jednak faktu, że nas wszystkich okpił, bo miała być „Odyseja", a jest trochę „Odysei", trochę reinterpretacji i co nieco zupełnie nowego autorskiego scenariusza. Reżyser stwierdził, że choć z dziełem Homera może obchodzić się swobodnie, to tytuł do swojej produkcji powinien zapożyczyć wiernie. Mnie to nie przekonuje. Kino z tego wyszło znośne, przesłanie jest dla wielu czytelne, ale „Odyseja" naciągana.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

ZDRADY

Uwodzi cię zjawiskowo piękna kobieta? Uważaj, bo to może być prawdziwa zasadzka

Prawidłowość jest taka, że im wyższe temperatury na zewnątrz, tym więcej pracy mają prywatni detektywi. Prawdziwe żniwa zaczynają się latem i to nie tylko za sprawą tych, którzy podejrzewają o niewierność swoich partnerów. Metodą na podryw można też podkradać biznesowym rywalom pracowników, a nawet... wyciągać tajemnice konkurencyjnych firm

Mirela Mazurkiewicz

- Jakby społeczeństwo wpakować do dziesięciopiętrowego bloku, to do siódmego piętra wszyscy się pier... na boku. Dwa piętra to ludzie porządni, a ostatnie piętro - ci, którzy może by i chcieli być jak ci pierwsi, ale zdrowie już nie to – mówi dosadnie o swoich obserwacjach licencjonowany prywatny detektyw, który ma biuro w jednym z dużych miast wojewódzkich w Polsce. Jego agencja realizuje zlecenia również na Opolszczyźnie. Prosi, by nie podawać jego nazwiska, bo ta branża lubi ciszę. – Seniorzy wcale nie są święci. Nieraz zdarza nam się uganiać po krzakach za ludźmi przed osiemdziesiątką, zbierając dowody zdrady. Niektórzy z nich to ludzie wpływowi i zamożni. Oczywiście, że stać ich na to, żeby zabrać kochankę do drogiego hotelu, ale tu nie o skąpstwo chodzi, tylko o dreszczyk emocji. Zdziwiłaby się pani, ile osób fantazjuje o tym, by uprawiać seks w miejscu, gdzie mogą zostać przyłapani. Równie wielu przechodzi od fantazji do czynów. Nawet jeśli równocześnie są w innych związkach.

Sąd też chodzi do łóżka

Robota dla tajnych agentów zaczyna się wówczas, gdy życiowy partner niewiernego męża czy żony nabiera podejrzeń. Z obserwacji detektywa, z którym rozmawiam, wynika, że wielu klientów chce udowodnić zdradę, nie tyle po to, by rozwieść się na korzystniejszych warunkach, ale by poznać prawdę. Zwłaszcza, że wiarołomny mąż czy żona potrafią długimi latami prowadzić równoległe życie, a podejrzewający niewierność przechodzi psychiczną udrękę.

- Naszą klientką była czterdziestolatka, którą mąż zdradzał od dwudziestu lat. To byli bardzo bogaci ludzie. Mieli do dyspozycji prywatny helikopter, na przeprosiny po jednym z takich wyskoków on kupił jej luksusowy samochód. Podział był taki, że on zarabiał, a ona miała być ozdobą domu. Ale w końcu po dwudziestu latach oszustw i manipulacji coś w niej pękło i poprosiła nas, byśmy zebrali dowody zdrady – wspomina detektyw. – Są też takie historie, gdzie zdradzany doskonale wie o niewierności partnera, ale daje na nią ciche przyzwolenie. Wspólnie tworzą dom, opiekują się dziećmi, na pozór wyglądają na zgodną i szczęśliwą parę. A zdrada jest zabawą i źródłem adrenaliny.

Wyparcie czasami jest strategią na przetrwanie, by z mozołem budowana rzeczywistość nie rozsypała się, jak domek z kart.

- Wczoraj zadzwonił do mnie mężczyzna, który podejrzewał, że żona go zdradza. Jak zwykle wyszedł do pracy, a ona sądziła, że nie wróci przez najbliższe kilka godzin. Mężczyzna pojawił się jednak przed domem i obserwował sytuację z ukrycia. Zadzwonił do żony prosząc, żeby coś sprawdziła, a ona wyszła na zewnątrz z tym kochankiem. Klient do końca starał się sobie jakoś racjonalnie wytłumaczyć obecność tego obcego faceta w ich domu, choć dla mnie sytuacja była ewidentna – mówi detektyw. – To nie jest tak, że my, żeby udowodnić zdradę, musimy przyłapać parę w łóżku na gorącym uczynku. Sąd też chodzi do łóżka, więc nie uwierzy, że kobieta z mężczyzną jadą na weekend w górach po to, żeby grać w karty.

Biżuteria na pawlaczu

Zdrady zdarzają się nie tylko w tzw. wyższych sferach, u ludzi bardzo bogatych. Niektórzy są gotowi zapożyczyć się, by zaangażować speców od zabezpieczania dowodów niewierności.

- Podobno żona dowiaduje się ostatnia. Zawsze sądziłam, że to taki wyświechtany slogan, bo przecież jak można niczego nie zauważyć? Aż w końcu padło na mnie – mówi gorzko Marta, urzędniczka z jednego z miast powiatowych. Od roku samotnie wychowuje dwójkę dzieci w wieku szkolnym. – Mój były mąż pracuje w banku, godziny pracy ma dosyć regularne i właściwie poza nimi nie znikał nigdy z domu, dlatego nie miałam żadnych podejrzeń. Po pracy trzy razy w tygodniu wychodził pobiegać i to było właściwie tyle. Nie było żadnych eskapad z kolegami ani wieczornych wyjść na piwo. Jak na ironię losu krótko przed tym, jak sprawa wyszła na jaw, pomyślałam sobie, że jestem szczęśliwa w tej naszej codzienności. Byliśmy zdrowi, mieliśmy dom, dwa razy w roku wyjeżdżaliśmy na zagraniczne wakacje. Nawet kłótnie zdarzały się rzadko.

Pierwsza czerwona lampka zapaliła jej się wtedy, gdy Darek zaczął spędzać całe godziny przed ekranem telefonu. Prowadził z kimś długie i ożywione rozmowy, choć wcześniej raczej ograniczał się do krótkiej wymiany komunikatów. Gdy pytała, mówił, że robi zakupy przez internet albo przegląda grupy branżowe w mediach społecznościowych. Wcześniej zostawiał telefon w przypadkowych miejscach. Teraz praktycznie nie rozstawał się z nim, nawet idąc do toalety. Zwróciła też uwagę, że od jakiegoś czasu odkłada urządzenie ekranem do dołu. Jakby się bał, że ona zobaczy, kto do niego pisze.

- To było irracjonalne, bo nigdy nie kontrolowałam jego telefonu. Wcześniej nie było problemu, żebym skorzystała z niego, by na przykład zadzwonić do dzieci, kiedy mój aparat był rozładowany. Ale od jakiegoś czasu takie prośby go rozdrażniały – wspomina Opolanka.

Aż któregoś razu znalazła na pawlaczu pudełko z drogą biżuterią. Mąż nie przewidział, że w środku lata zajrzy do pudła z akcesoriami narciarskimi. W pierwszej chwili pomyślała, że szykuje jej niespodziankę na zbliżającą się rocznicę ślubu, ale nic takiego się nie wydarzyło. Później wzięła do ręki książkę, którą on kupił kilka dni wcześniej. Wypadł z niej paragon potwierdzający zakup drogiej damskiej bielizny.

Jakby społeczeństwo wpakować do dziesięciopiętrowego bloku, to do siódmego piętra wszyscy się pier... na boku. Dwa piętra to ludzie porządni, a ostatnie piętro - ci, którzy by chcieli być jak ci pierwsi, ale zdrowie już nie to

Marta zadłużyła się i zaangażowała prywatnego detektywa, by zdobyć dowody zdrady. Wtedy jeszcze łudziła się, że niczego nie znajdzie i że ona przesadza. Po pięciu dniach wszystko było jasne.

- Znajomi przecierali oczy ze zdumienia. Uważali, że jesteśmy zgodną i szczęśliwą parą. Najsmutniejsze jest chyba to, że ja też tak wtedy myślałam – mówi gorzko. Kochanką okazała się koleżanka z pracy. Gdy sprawa wyszła na jaw, mąż przekonywał, że to był tylko chwilowy skok w bok. Nie uwierzyła i złożyła pozew o rozwód. Od pół roku jest wolna. On w międzyczasie zmienił chyba zdanie, bo wyprowadził się do kochanki. – Okazało się, że sporo naszych znajomych wiedziało o jego romansie. Jedna z moich koleżanek powiedziała mi po czasie, że nic nie mówiła, bo nie chciała mnie zranić...

Marta wiele razy analizowała, co w ich przypadku poszło nie tak. Połączyła fakty i wyszło na to, że mąż znalazł sobie kochankę, gdy ona ubiegłego lata wyjechała służbowo na kilka dni. Aby nie komplikować mu życia zawodowego, o opiekę nad dziećmi poprosiła swoich rodziców.

Biznesmen z lekarką w negliżu

Historia Marty nie jest wyjątkiem. Prywatni detektywi od wiosny do jesieni mają pełne ręce pracy. Wysokie temperatury sprawiają, że zrzucamy ciężkie ubrania, co podkreśla walory ciała. Hormony zaczynają buzować, a to zdaniem fachowców sprzyja skokom w bok.

- W błędzie jest ten, kto myśli, że zdrady dotyczą wyłącznie mężczyzn. Akurat w tej chwili mamy serię zleceń, gdzie nasi klienci podejrzewają o niewierność swoje żony i partnerki. I wychodzi na to, że nie są to podejrzenia bezpodstawne – mówi Mariusz Sukmanowski, licencjonowany prywatny detektyw.

Kochankowie coraz częściej zamiast hoteli wybierają wynajmowane za pomocą popularnych platform mieszkania. Zapewne dlatego, że to oznacza większą anonimowość i mniejsze ryzyko przypadkowego spotkania z kimś, kto mógłby donieść zdradzanemu partnerowi. Z tego samego powodu wielu decyduje się na schadzki w lasach czy innych ustronnych miejscach. Nawet, gdy są to ludzie, których stać na drogi hotel.

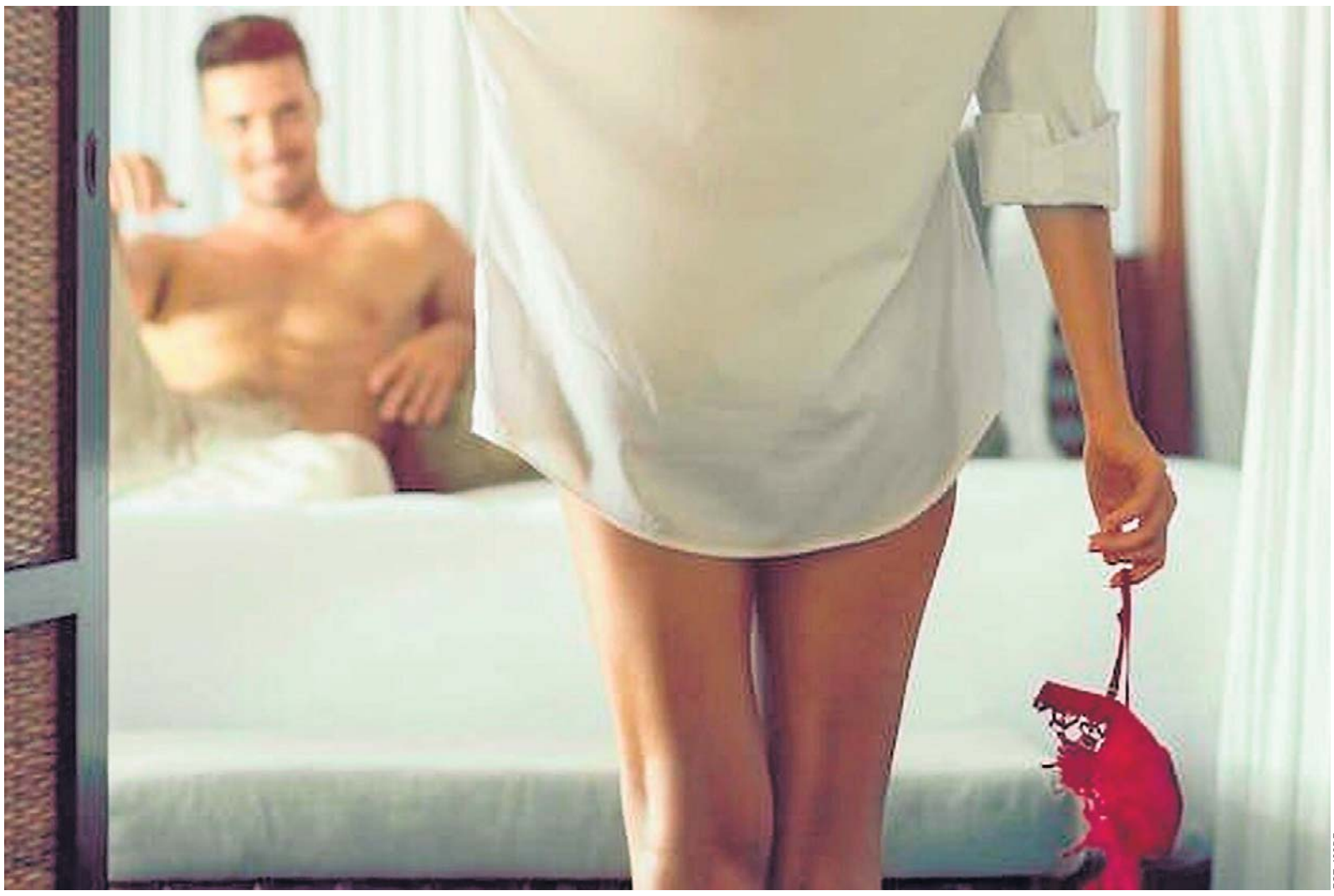
- Któregoś razu prowadziliśmy obserwację na zlecenie pewnej wpływowej pani prezes. Jej mąż-przedsiębiorca zabierał znajomą lekarkę na leśny parking i tam urządzali sobie intymne spotkania - wspomina Mariusz Sukmanowski, który dokumentował tę schadzkę. – Traf chciał, że krótko przed tym spotkaniem figurant kupił drogi, naszpikowany elektroniką samochód. Gdy po wszystkim, niekompletnie ubrani, postanowili odpocząć na zewnątrz, drzwi auta się zatrzasnęły samoczynnie, a oni zostali tam tak, jak stali. Skończyło się wybiciem szyby. Widzieliśmy, że zaiskrzyło między kochankami i zrobiło się mało przyjemnie.

Niewierna multirecydywistka

Niewiernych partnerów najczęściej zdradza telefon i wcale nie musi chodzić o jego zawartość. Jeśli do tej pory leżał w miejscu ogólnodostępnym, a nagle staje się pilnie strzeżony – może to być pierwsza czerwona flaga. Do tego dochodzą potajemne rozmowy z łazienki lub balkonu czy nagłe zamiłowanie do długich spacerów.

- Niektórzy mają wyobrażenie, że zdrada dotyczy głównie osób w średnim wieku. W grupie 40-50 lat faktycznie mamy sporo klientów, ale zdarzają się też dwudziestokilkulatkowie oraz seniorzy i zwłaszcza w tej drugiej grupie to nie są

eprasa.pl 3daaa9cb0a



FOT. 123RF

Nagle pojawia się zjawiskowo piękna kobieta, której „wpada w oko” mężczyzna...

rzadkie przypadki – mówi Mariusz Sukmanowski. – Co jakiś czas wpadają nam też „multirecydywiści”. Pewna pani została przyłapana przez męża na zdradzie, ale ostatecznie wyjaśnili sobie wszystko i związek ocalał. Pan wracał do nas jeszcze kilka razy, by sprawdzić, czy żona jest mu wierna, a my za każdym razem dostarczaliśmy dowodów kolejnej zdrady. Jedyne, co się zmieniało w tej historii, to partnerzy figurantki.

Adwokatka Magdalena Koczur-Miedziejko od 25 lat towarzyszy klientom, m.in. podczas spraw rozwodowych. Z jej obserwacji wynika, że zdrada należy do najczęściej wskazywanych powodów rozpadu małżeństw.

- Kiedy zaczynamy analizować sytuację, zwykle okazuje się, że była ona następstwem tego, co działo się w domu – mówi adwokatka. – Widzę taką prawidłowość, że związki niszczy trudna sytuacja finansowa, która powoduje wzajemne frustracje albo duża rozbieżność zarobków, która czasami prowadzi do przemocy ekonomicznej jednego małżonka względem drugiego. Trzecią z przyczyn, które pojawiają się najczęściej, gdy mężczyzna lub kobieta decydują się na rozwód, jest brak uwagi ze strony życiowego partnera.

Stereotyp jest taki, że bardziej skłonni do zdrady są mężczyźni. Historie, które opolska adwokatka widziała na sali rozpraw, tego nie potwierdzają.

- Moim zdaniem mężczyźni mniej dbają o zachowanie dyskrecji, stąd bierze się przekonanie, że im zdrada zdarza się częściej. Kobiety robią natomiast wiele, by niewierność nie wyszła na jaw – mówi mec. Koczur-Miedziejko. – Często za taką grą pozorów stoi troska o dzieci. Panie nie chcą, by pozamałżeńska relacja odbiła się na małoletnich, więc pilnie strzegą tajemnicy. Obserwuję jednak, że nawet po zdradzie, która wywołuje silne emocje, pary coraz częściej potrafią z godnością się rozstać i uporządkować wzajemne relacje. Wynika to ze świadomości, jak bardzo przedłużający się kryzys potrafi obciążyć właśnie dzieci, które nie są przecież winne tego, że ich rodzicom się nie ułożyło.

Uwieść pracownika konkurencji

Nie jest tajemnicą, że okazją do zdrady może być wyjście na siłownię, spotkanie ze znajomymi albo służbowy wyjazd. Ale tutaj czai się drugie dno, bo za relacją zakończoną spontanicznym seksem nie zawsze idzie mniej lub bardziej trwała fascynacja.

- Na takim spotkaniu branżowym pojawia się zjawiskowo piękna kobieta, której „wpada w oko” mężczyzna. To nie przypadek, że akurat ten mężczyzna jest na przykład handlowcem ze świetnymi wynikami w firmie, którą interesuje się jej pracodawca. Relacja nabiera pikanterii, a handlowiec, ani się obejrzy, jest już w firmie tej kobiety, bo pod wpływem uczucia postanowił zmienić pracę, a często również swoje życie prywatne o 180 stopni – opowiada Mariusz Sukmanowski, licencjonowany prywatny detektyw. - To często są bardzo smutne historie, bo relacja kończy się tuż po zakończeniu zadania, czyli przejęciu pracownika. Spotykamy się z wyspecjalizowanymi firmami, które działają dosłownie jak służby specjalne, szkolone do werbowania ludzi.

Nie zawsze „przynętą” musi być zjawiskowa kobieta czy olśniewająco przystojny mężczyzna, wcielający się w rolę amantów. Czasami na takich targach branżowych poznaje się kolegów z innych firm, z którymi w mig nadaje się na tych samych falach.

- Mieliśmy taki przypadek. Po imprezie były spotkania przy piwie, budowana miesiącami koleżeńska relacja, zdobywanie zaufania. Później okazało się, że zwerbowany taką metodą chłopak za każdą wyniesioną do konkurencji informację dostawał 10 tys. złotych – wspomina Mariusz Sukmanowski. - To jest klasyczne szpiegostwo przemysłowe, które jest przestępstwem. Dlatego, gdy szefowie orientują się, że nagle w ich firmach dochodzi do zaskakujących zbiegów okoliczności, które im szkodzą, angażują detektywów. Naszą rolą jest zbieranie i zabezpieczanie dowodów.

** Opisane zdarzenia są autentyczne, zmieniono jedynie szczegóły mogące prowadzić do identyfikacji ich uczestników.*

AKCJA CHARYTATYWNA
0011544302



eprasa.pl 3daaa9cb0a

KULINARNE WYZWANIE

144 kilogramy pyszności, czyli nowy rekord Polski na największe carpaccio

Przepyszne, kolorowe i pachnące tak, że czuć je było z daleka. Ale przede wszystkim gigantyczne! Takie było carpaccio, które powstało w minioną niedzielę na białostockim Rynku Kościuszki. I przyczyniło się do pobicia rekordu Polski na największe carpaccio z buraków i sera korycińskiego

Urszula Śleszyńska



FOT. EWELINA ZGIET

– Carpaccio było przepyszne, najlepsze, jakie jadłam w życiu – zapewniała Natalia Szuflewska z Biura Rekordów Polski. – Gratuluję wszystkim, którzy przyłożyli się do powstania tego imponującego dania. Z ogromną przyjemnością chciałabym ogłosić, że ustanowiony został nowy wynik rekordu Polski na największe carpaccio w Polsce. I są to 144 kilogramy!

Tym samym pobity został poprzedni rekord, ustanowiony 10 lat temu, 17 września 2016 r. Przygotowane wtedy carpaccio ważyło 98 kilogramów i 837 gramów. Tegoroczne wydarzenie stało się symbolicznym powrotem do idei zapoczątkowanej przez białostoczankę Dominikę Czarnecką.

– Pamiętam, jak kilkanaście lat temu oglądałam wiadomości, w których została przekazana informacja dotycząca pobicia rekordu Guinnessa na największą lokalną włoską potrawę. I przyznam, że to była bezpośrednia inspiracja do tego, żeby stworzyć takie danie, ale z użyciem podlaskich produktów – wspomina Dominika Czarnecka, pomysłodawczyni i jedna z organizatorek wydarzenia. – Chciałam wymyślić taką potrawę, która będzie promowała naszą lokalną gastronomię, lokalnych producentów oraz naszą kuchnię, która jest absolutnie wyjątkowa. Stąd pojawił się ser koryciński. Stwierdziliśmy, że jubileusz jest najlepszą okazją do tego, żeby podjąć próbę pobicia wcześniej ustanowionego rekordu. To się fantastycznie zbiegło w czasie z organizacją I Festiwalu Produktów Lokalnych. Co więcej, produkty, które są wykorzystane do tego carpaccia, pochodzą właśnie od lokalnych dostawców.

W niedzielę do przygotowania carpaccio potrzebne było 111 kg buraków, 30 kg sera korycińskiego, około 20 litrów sosu winegret, prawie 10 kg orzechów i 8 kg rukoli.

– Sos winegret też został przygotowany z produktów i przypraw, które pochodzą od lokalnych dostawców – podkreśla Czarnecka. – Chciałabym też zaznaczyć, że zależało nam nie tylko na wielkości tego dania, ale również na jego estetyce i odpowiednich walorach smakowych. Dlatego całe carpaccio zostało udekorowane rukolą i orzechami.



FOT. EWELINA ZGIET

Ekipa przygotowująca carpaccio z certyfikatami rekordu Polski

Stół miał 30 metrów długości!

Rekordowa była nie tylko waga składników, ale również stół, na którym danie było przygotowywane. Miał on około 30 metrów długości i 1,68 m szerokości. Gotowe carpaccio, zgodnie z regulaminem Biura Rekordów, zostało oficjalnie zważone, a następnie wszyscy zebrani na Rynku Kościuszki mieli okazję go spróbować. Potrawą zachwycali się zarówno mieszkańcy, jak i odwiedzający Podlasie turyści. Wszyscy podchodzili do stołu z uśmiechem na twarzy, dopytywali, na jakim etapie są prace, a także o dokładny przepis. Ale ten pozostał sekretem szefa kuchni Dworu Czarneckiego, który – wraz z ekipą – przygotowywał potrawę.

Carpaccio rozdawał minister rolnictwa

Carpaccio zaczęto przygotowywać na rynku w samo południe, dokładnie o godz. 12. Cały proces układania i ozdabiania potrawy (składniki zostały wcześniej przygotowane) trwał ponad 3 godziny. Stół został odpowiednio zabezpieczony pod kątem sanitarnym – na blatach znalazła się specjalna folia spożywcza, na której układano carpaccio. Następnie było ono przekładane na tace i ważone, a dopiero później trafiało do degustacji. Wśród osób częstujących tą potrawą mieszkańców znalazł się m.in. minister rolnictwa Stefan Krajewski.

Czerwone buraki gotowane, a żółte marynowane

Anna Nowik, pracownica Dworu Czarneckiego i Restauracji Forma 54, która brała udział w przygotowywaniu carpaccio, podkreśla, że najtrudniejsza była organizacja pracy przy tak dużym daniu.

– Ale fajne było to, że tyle osób się w to zaangażowało. No i że mamy swój regionalny produkt i możemy go pokazać, pochwalić się nim – dodaje z uśmiechem.

A jak wyglądała praca przy tej potrawie od kuchni?

– Na początku w Dworze Czarneckiego ugotowaliśmy i pokroiliśmy buraki. A już na miejscu, czyli na Rynku Kościuszki, wszystko rozkładaliśmy. Mamy wolontariuszy, którzy nam bardzo pomagali – opowiada Anna Nowik. – Rozłożyliśmy buraki, polaliśmy je sosem, posypaliśmy serem korycińskim, a później orzechami w miodzie i rukolą. Myślę, że najtrudniejsze w zrobieniu carpaccio jest dobranie odpowiednich proporcji składników. Tak, żeby wszystko razem ładnie balansowało smak. Może się wydawać, że przy takiej ilości wszystkiego było ciężko, ale mamy już doświadczenie. Są ludzie, którzy pracowali przy poprzednim rekordzie, więc wiedzieli, jak to dobrze zrobić.

Potrawie kolorytu dodały też żółte buraki, które zostały wkomponowane między czerwone. Żółte – w przeciwieństwie do czerwonych – nie były wcześniej gotowane, tylko marynowane w zalewie miodowej.

– Pierwszy raz organizujemy takie wydarzenie jako Urząd Marszałkowski Województwa Podlaskiego. Cieszy mnie to, że mieszkańcy województwa podlaskiego, jak i turyści, doceniają produkty lokalne – dodaje Magdalena Tymińska, dyrektor Podlaskiego Centrum Produktu Lokalnego, organizatora I Festiwalu Produktów Lokalnych, w ramach którego odbywało się bicie rekordu. – Wcześniej nigdy nie robiłam carpaccio. Ale pomysł, jaki pani Dominika z Dworu Czarneckiego nam podsunęła, spodobał się zarówno mi, jak i marszałkowi Bogdanowi Dyjukowi. Dlatego postanowiliśmy włączyć się w bicie rekordu. Układałam dzisiaj buraki i było to ciekawe doświadczenie. Wszyscy uważają, że carpaccio jest daniem dwuskładnikowym, czyli mało wymagającym, a to nieprawda. Trzeba poświęcić dużo więcej czasu, żeby wydobyć smak z buraków i sera korycińskiego. Jak to zrobić? Liczy się tutaj przede wszystkim cierpliwość. Oczywiście słuchaliśmy osób, które się na tym znają. Mieliśmy też obok panią Dominikę, która nas instruowała, co i jak mamy robić. Wielu ludzi podchodziło i pytało, co to jest to żółte warzywo. A to był burak! I chyba to najbardziej wszystkich dziwiło, że na Podlasiu są żółte buraki.

Wielu uczestnikom akcji bicia rekordu tak się to spodobało, że pojawił się kolejny pomysł – żeby na Boże Narodzenie pobić rekord w najdłuższym makowcu!

eprasa.pl 3daaa9cb0a

MONARCHIA BRYTYJSKA



FOT. CC

20-letnia Diana Frances Spencer, księżna Walii, miała w założeniu olśnić wszystkich swoim wyglądem

Kto pamięta „ślub stulecia" sprzed 45 lat?

29 lipca 1981 r. w londyńskiej katedrze św. Pawła książę Karol poślubił Dianę Spencer. Nie bez powodu wydarzenie okrzyknięto „ślubem stulecia"

Mariusz Grabowski

Choć w katedrze św. Pawła zgromadziło się „tylko"... 3,5 tys. gości to szacuje się, że globalnie ślub transmitowany przez BBC oglądało ponad 700 mln telewidzów w 75 krajach. Kosztował, bagatela, 50 mln dolarów.

Świat się przygląda

Śluby postaci ze świecznika mają w sobie coś bajkowego. Są wydarzeniami towarzyskimi, ale i politycznymi. Tak było np. w przypadku ślubu Jacqueline Bouvier i Johna F. Kennedy'ego 12 września 1953 r., którzy osiem lat później zostali Pierwszą Parą Stanów Zjednoczonych. Podobne emocje towarzyszyły zaślubinom Grace Kelly i Rainiera Grimaldiego 19 kwietnia 1956 r. w katedrze św. Mikołaja w Monako. Wydarzenie śledziło wówczas blisko 30 mln widzów na całym świecie.

Wielkie pieniądze widać było też na ślubie Vanishi Mittal, córki jednego z największych producentów stali na świecie, która wyszła za mąż za bankiera Amita Bhatię. Powiedzieli sobie „tak" w czerwcu 2004 r. w XVI-wiecznym pałacu w Wersalu. Wśród gości pojawił się m.in. Donald Trump.

W przypadku ślubu Diany i Karola, prócz pieniędzy i splendoru było jednak coś więcej: charakterystyczna romantyczna narracja stworzona głównie przez media i celebrytów. Związek, niczym scenariusz filmowy, zręcznie wykreowano na „idealny" i „jedyny w swoim rodzaju". A poza tym „tradycyjnie angielski". Z czasem okazało się, że był to w dużej mierze produkt speców od PR.

Ślub, co oczywiste, zaprojektowano w każdym szczególe, ale przede wszystkim pod kątem atrakcyjności i medialności. Czuwał nad tym specjalnie powołany i suto opłacany sztab organizatorski. Np. na miejsce uroczystości wybrano Katedrę św. Pawła zamiast Westminster Abbey, tradycyjnego miejsca królewskich ślubów dlatego, że Katedra oferowała więcej miejsc siedzących. Pozwalała także na... dłuższą procesję przez Londyn.

Ceremonia była tradycyjnym nabożeństwem Kościoła anglikańskiego. Prowadzili je abp Canterbury, Robert Runcie i dziekan katedry św. Pawła, Alan Webster. Ale istniał wariant, że zamiast abp Runciego, który lekko się jąkał przy ołtarzu pojawi się inny hierarcha. Tę rewelację ogłoszono dopiero dwie dekady po ślubie, kiedy abp Runcie już nie żył.

W kwestii kosztów nie istniał żaden limit. Do 50 mln trzeba było doliczyć dodatki: dla tajniaków policyjnych i specjalnych ochroniarzy np. na lotniskach i promach. To z obawy przed atakiem ze strony irlandzkiej partyzantki. Suto zapłacono także armii: za strzelców wyborowych i trzymane w pogotowiu oddziały saperów.

Lawina pieniędzy popłynęła na ten królewski ślub w momencie, gdy Wielka Brytania pogrążona była w kryzysie ekonomicznym. W 1981 r. stopa bezrobocia sięgnęła 10 procent – ponad 2,5 mln Brytyjczyków nie mogło znaleźć pracy. W Londynie, Liverpoolu i Leeds trwały protesty i strajki przeciwko liberalnym rządom Margaret Thatcher.

„Paść z wrażenia"

20-letnia Diana Frances Spencer, księżna Walii, miała w założeniu olśnić wszystkich swoim wyglądem. Tylko jej suknię ślubną wyceniono na 9 tys. funtów (dziś to równowartość ok. 40 tys. funtów). Uszyto ją z jedwabnej tafty w kolorze kości słoniowej, ozdobiono koronką, haftem ręcznym, cekinami i 10 tys. pereł.

Suknię zaprojektowaną przez Elizabeth i Davida Emanuelów wieńczył najdłuższy tren w królewskiej historii ślubów – liczył blisko osiem metrów (suknię można dziś oglądać na wystawie w londyńskim Pałacu Kensington). Na głowie księżnej lśniła rodowa tiara z diamentami w kształcie tulipanów, a jej pantofelki były ozdobione 542 cekinami i 132 perłami.

Starszego od Diany o 13 lat księcia Karola ubrano skromniej, w galowy mundur komandora Królewskiej Marynarki Wojennej. Dodatkowo przewiązano go ozdobną, błękitną szarfą i przyozdobiono odpowiednim zestawem orderów: m.in. Gwiazdą Orderu Podwiązki, Królewskim Medalem Służby, Medalem Koronacyjnym i Medalem Srebrnego Jubileuszu.

Spójrzmy w menu

Goście weselni dostąpili prawdziwych kulinarnych zaszczytów. Podczas przyjęcia mogli wybierać z 27 tortów. Ten najważniejszy – stworzony przez królewskiego cukiernika Davida Avery'ego – mierzył półtora metra, ważył prawie 100 kilogramów i był nasączony rumem. Latem 2021 r. kawałek tego tortu, skrzętnie zachowany przez jednego z gości, został sprzedany na aukcji. Oryginalną pamiątkę wylicytował niejaki Gerry Layton, który zapłacił za niego 1850 funtów.

Jako przystawkę podano delikatne pulpety z flądry w kremowym sosie z homara, zaś na danie główne obiad Suprême de Volaille Princesse de Galles, nazywany także „Princess of Wales Chicken Supreme". To piersi z kurczaka faszerowane musem z baraniny, otulone brioszką i przyozdobione szparagami. Ponadto gotowany bób w maśle, kremową kukurydzę oraz młode ziemniaki. Na deser świeże truskawki ze śmietaną

Do dziś wśród wielu śledzących życie królewskiej elity panuje przekonanie, że menu ślubne było antyangielską dywersją. Dania inspirowane były bowiem ewidentnie kuchnią francuską. Na nic zdają się argumenty, że księżna Diana po prostu lubiła drób i truskawki. A także te, że kuchnia angielska jest zbyt marna na takie okazje.

Elity i tłum

Podczas uroczystości nie obyło się bez drobnych wpadek – np. Diana w czasie składania przysięgi pomyliła imiona pana młodego, nazywając go zamiast Karolem Filipem Arturem Jerzym – Filipem Karolem Arturem Jerzym, z kolei Karol zamiast o „moich dobrach doczesnych" powiedział o „twych dobrach". Nie umniejszyło to jednak w niczym ogólnego entuzjazmu narodowego związanego ze ślubem.

Po ceremonii para udała się do Pałacu Buckingham, gdzie z balkonu pozdrowiła zgromadzony tłum i publicznie się pocałowała (co zapoczątkowało nową świecką tradycję), a następnego dnia udała się w podróż poślubną – najpierw na trzy dni do rezydencji Broadlands w Hampshire, później w 11-dniowy rejs po Morzu Śródziemnym na pokładzie Royal Yacht Britannia, a na koniec do zamku Balmoral w Szkocji.

Niespełna 11 miesięcy po ślubie urodził się pierwszy syn Karola i Diany, książę William, a dwa lata później drugi – Harry.

Emocje i polityka

Spójrzmy jednak na ślub Diany i Karola nie od strony widowiskowej, ale politycznej. „Mimo że monarcha w Wielkiej Brytanii pełni funkcję jedynie ceremonialną, to znaczne źródło utrzymania rodziny królewskiej płynie z kieszeni obywateli, którzy są tego świadomi. Dlatego rodzina królewska jest przekonana nie tylko o swoich przywilejach, ale również świadoma obowiązków, a szczególnie tego najważniejszego – utrzymanie sukcesji i dbanie o monarchię". To fragment tekstu Julii Ziółkowskiej „Brytyjska rodzina królewska a media. Wpływ ich relacji na nastroje antymonarchistyczne w Wielkiej Brytanii" (w tomie „Monarchia brytyjska", Warszawa 2023).

Dalej autorka pisze: „Potrzeba utrzymania wsparcia opinii publicznej skłoniła rodzinę królewską nie tylko do wyjścia zza bram Pałacu Buckingham, ale również do aktywnej partycypacji w kontencie mediowym. Wydawałoby się, że ta symbioza zapewnia swego rodzaju bezpieczeństwo rodzinie królewskiej, jednocześnie nasycając media informacjami, które uznają za stosowne".

Wynika z tego, że im większy wypas medialny, tym większa pewność, że będzie się społecznie nieodzownym. Jeśli przyjmiemy, że w 1981 r. ślub Diany i Karola był precedensem, to co powiemy o jego koronacji – już jako Karola III – w maju 2023? Odpowiednio spreparowana medialnie zjednoczyła społeczeństwo Wielkiej Brytanii w duchu promonarchicznym. Podobnie jak ostatnie wydarzenia z życia rodziny królewskiej: ślub Petera Phillipsa (syna księżniczki Anny) z Harriet Sperling, który odbył się w czerwcu 2026 r. w kościele All Saints w Kemble.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

GWIAZDA

Justyna Steczkowska: Mieszka w nas boska iskierka zwana duszą

– Muzyka i artyści powinni brać większą niż kiedykolwiek wcześniej odpowiedzialność za młodzież, do której mówią – podkreśla wokalistka Justyna Steczkowska

Urszula Śleszyńska



– Przestałam mieć jakiekolwiek żale, jakiekolwiek pretensje – wyznaje Justyna Steczkowska

FOT. W. WOJTKIELEWICZ

W niedzielę, 26 lipca, wystąpiła pani w Teatrze Wierszalin w Supraślu w ramach Festiwalu Między Wierszami. Ostatnio była pani w Białymstoku, żeby... czytać! W ramach 20-lecia Bajkowych Poranków. Czy głośne czytanie, chociażby dzieciom, jest ważne?

Zaproszenie na czytanie przyjęłam z ogromną chęcią, ponieważ jestem wielkim orędownikiem czytania książek. I to od zawsze. Zawsze czytałam swoim dzieciom na dobranoc i uważam, że to jest najpiękniejsza bliskość, jaka wieczorem może wydarzyć się między rodzicem a dzieckiem. Po pierwsze, dziecko słucha i pobudza swoją wyobraźnię. Ma tylko tekst i musi sobie wyobrazić jak wygląda historia. Pamiętam jak czytaliśmy Leonowi Sienkiewicza – „Ogniem i Mieczem" i „Potop". To są przepiękne książki dla dziecka, które ma osiem lat. Idealne, bo dużo się dzieje, jest dużo pięknych walk, opisów. Oczywiście jak dzieci były małe, to czytaliśmy im bajki, ale też zdarzało się, że je wymyślałam, na przykład o kosmitach. Czytanie na głos jest bardzo ważne, również wtedy, kiedy dziecko się uczy. A dla rodzica to jest też powrót do dzieciństwa. I ta wspomniana już bezcenna bliskość – to jest ta chwila, w której dziecko zasypia, czuje się bezpiecznie, słyszy jakąś historię, która go porusza, a do tego uruchamia wyobraźnię, która jest przecież najbardziej kreatywnym ośrodkiem w naszym ciele. A później z tego wszystkiego rodzą się wielkie rzeczy. Wszystko zaczyna się w głowie. A żeby głowa była kreatywna, to musimy wciąż tę kreatywność w sobie pobudzać. Czytanie jest jednym z najważniejszych elementów tej historii.

A od takiego głośnego czytania blisko jest do śpiewu?

Myślę, że tak. Ja też jak śpiewam, jak ćwiczę, to mówię głośno teksty. Szczególnie kiedy ćwiczę projekt Steczkowska/Demarczyk, jak wyruszam w jakąś trasę. To jest bardzo trudny repertuar i muszę ćwiczyć z korkiem w buzi na głos, żeby dykcja była doskonała. Wiadomo, że śpiewam też głośno, bo jak inaczej! (śmiech)

W tym roku obchodziła pani swój jubileusz w Opolu. Chciałabym się cofnąć w czasie, do roku 1994, do Debiutów i właśnie do Opola. Jak się pani od tamtego czasu zmieniła?

Dojrzałam, jak każdy w swojej drodze, jeśli oczywiście chce dojrzewać i skupić się na rozwoju, również duchowym, nie tylko muzycznym. Myślę, że jako człowiek zmieniłam się na lepsze. Na co dzień jesteśmy przede wszystkim ludźmi. To, że mamy jakieś etykiety – artystki, księgowej, mamy, córki, żony itd. – to są tylko etykietki, z którymi jesteśmy związani w naszym życiu, w społeczeństwie. Natomiast my jako istota jesteśmy czymś więcej. To w nas mieszka boska iskierka zwana duszą. To ona nas zasila, ona nas prowadzi. Jeśli mamy z nią dobry kontakt, to nasze życie wygląda zupełnie inaczej. Jest pełniejsze, bardziej empatyczne, wyrozumiałe i piękne. Zawsze dążyłam do kontaktu z nią, ale nie wiedziałam, jak to zrobić. Poszukiwałam informacji, książek. To zresztą bardzo często polecam swoim fanom na Instagramie – żeby dotrzeć do tego momentu, w którym naprawdę jestem w 100% połączona z duszą. Wiedziałam, że to da mi siłę i zupełnie inną perspektywę patrzenia na siebie, w kontekście nie tylko świata, ale też wszechświata. Ale też patrzenia na świat, który mnie otacza, czyli rodzinę, społeczeństwo, środowisko, w którym żyję. I wreszcie dotarłam do takiego momentu, który wydarzył się w Indiach, na warsztatach.

Co to był za moment?

Przepiękny i nieporównywalny z niczym innym! Każdy z nas, dopóki żyje, porusza się, myśli, jest zasilany energią duszy. Ale ona czasem zasila nas tylko tyle, ile musi, żebyśmy funkcjonowali. Natomiast kiedy naprawdę czujemy i spotkamy się z nią „twarzą w twarz", to trudno porównać tę miłość z czymkolwiek innym. Pamiętam, że poczułam jak ta energia wraca do mojego ciała, zasilając je w sposób niezwykle mocny. Oczywiście lały się łzy, bo to jest nie do opanowania. To jest też energia ciała. Ciało wszystko pamięta, jest najpiękniejszą książką o nas samych. Od tej pory wszystko zaczęło się zmieniać. I zmienia się nadal, na lepsze, we mnie samej jako człowieku.

To znaczy?

Przestałam mieć jakiekolwiek żale, jakiekolwiek pretensje, nieporozumienie między sobą a innymi ludźmi. Trzeba też pamiętać, że jestem tylko człowiekiem i też jestem uzależniona od emocji, które krążą wokół. Chcąc nie chcąc jesteśmy związani ze środowiskiem, w którym żyjemy. I nas też ono dotyczy. Teraz już wiem, jaki to jest schemat i natychmiast mówię sobie: „Naprawdę? Jeszcze tego nie zrozumiałaś?". I wtedy moja dusza mi przypomina, że zrozumiałam, tylko przez moment zapomniałam czepiając się czegoś, co do mnie nie należy i nie jest moje. Więc to była długa droga, która trwała wiele lat. Trzeba też pamiętać o jednej ważnej rzeczy. Że ta droga zaczyna się zawsze od naszej własnej chęci rozwoju. Więc jeśli mogę państwu powiedzieć coś od siebie, jeśli ta wiedza jest dla was cokolwiek warta, to pamiętajmy, że nikt za nas świata nie zmieni – naszego szczególnie.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

MISTRZOWIE FOTOGRAFII 2026



1. miejsce w województwie: Wojciech Markowski, Warszawa

Akcja Mistrzowie Fotografii 2026 dobiegła końca. Przez wiele tygodni miłośnicy fotografii z całej Polski prezentowali wybrane przez siebie kadry, walcząc o uznanie naszych Czytelników i Internautów, a także o tytuły oraz nagrody. W ogólnopolskim finale wyłoniliśmy laureatów w skali całego kraju, a na zdobywcę nagrody głównej czekała wyjątkowa fotograficzna wyprawa do Andaluzji w Hiszpanii! Plebiscyt był doskonałą okazją do zaprezentowania swojego talentu szerokiemu gronu odbiorców i znalezienia się w gronie najpopularniejszych w Polsce osób robiących zdjęcia. I tak Fotografką Roku Polski została Sylwia Zelek, drugie miejsce w kraju zajęła Kamila Osińska, a trzecie - Ewelina Redlicka.

Jeszcze przed ogólnopolskim finałem poznaliśmy laureatów z naszego województwa - i to właśnie ich przedstawiamy dziś bliżej w dodatku, który trzymają Państwo w dłoniach.

Mistrzowie Fotografii po raz kolejny pokazali, że aparat to tylko narzędzie, bo w fotografii najważniejsze jest spojrzenie człowieka. Liczą się jego wrażliwość, ciekawość świata i umiejętność dostrzegania tego, co dla innych bywa niewidoczne. Każde zgłoszone zdjęcie było osobną historią, a każda z tych historii przypominała nam - i wciąż przypomina - że fotografia ma niezwykłą moc. Potrafi zatrzymywać czas i pozwala do niego wracać. To właśnie dlatego robimy zdjęcia - by ocalić wspomnienia, emocje i miejsca, które są dla nas ważne. Tegoroczna edycja Mistrzów Fotografii przypomniała nam również, że za każdym kadrem stoi człowiek - ze swoją własną historią, wrażliwością i sposobem patrzenia na świat. Historie uczestników akcji, które opisywaliśmy na łamach naszych gazet i serwisów internetowych, były równie ważne jak same fotografie. To one nadawały zdjęciom dodatkowy wymiar i pozwalały lepiej poznać ludzi, którzy stanęli po drugiej stronie obiektywu.

Dziękujemy wszystkim uczestnikom za podzielenie się swoim spojrzeniem na świat - i gratulujemy laureatom wygranej.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

FOTOGRAF ROKU I MIEJSCE W WOJEWÓDZTWIE

Bliżej mu do rzeczy mniej oczywistych, tajemniczych

KI
katarzyna.borek@polskapress.pl

Jego pasja do fotografii zrodziła się z chęci zatrzymywania chwil.



FOT. WOJCIECH MARKOWSKI

Początkowo Wojciech Markowski fotografował różne wydarzenia. Z czasem zaczął patrzeć szerzej, dostrzegać, że fotografia pozwala nie tylko dokumentować rzeczywistość, ale także pokazywać emocje, relacje i piękno codziennych, często niepozornych momentów. - Nie była to zasługa jednej konkretnej osoby czy wydarzenia. Raczej stopniowy proces odkrywania, że aparat daje mi możliwość opowiadania historii i patrzenia na świat z innej perspektywy - zastrzega. Każde zdjęcie jest dla niego próbą uchwycenia czegoś wyjątkowego: emocji, światła, atmosfery chwili. Do plebiscytu zgłosił kilka zdjęć. Zależało mu na tym, aby każde z nich było inne i pokazywało odmienne sytuacje, miejsca oraz momenty. Starał się wybrać takie, które pozostawiają przestrzeń do własnej interpretacji. To właśnie ta różnorodność była dla niego najważniejsza. - Każde ze zdjęć opowiada inną historię i pokazuje mój świat z nieco innej perspektywy. Lubię oglądać i robić zdjęcia, które nie podają gotowej odpowiedzi - wyjaśnia. Przykładem tego jest m.in. zgłoszony kadr architektoniczny jednego z ulubionych budynków w Warszawie. Wywołuje w nim zawsze dużo emocji, łącznie z lękiem wysokości, który robiąc zdjęcie, starał się niejako oddać.

Docenia klasyczne piękno przyrody, ale bliżej mu do rzeczy mniej oczywistych, tajemniczych i niejednoznacznych. Najlepiej oddawałyby go klatki oparte na formach ciemnych, zdeformowanych i na wpół abstrakcyjnych. Lubi w zdjęciach mrok i tajemnicę. Pociągało go zawsze to, co niedopowiedziane i zmuszające do refleksji. Wszystko to jest dla niego symbolem tego, że rzeczywistość nie jest idealna i gładka. Lubi często stawiać na abstrakcję zamiast dosłowność. Woli zbliżenia na faktury, geometryczne linie budynków ginące w ciemności czy organiczne kształty natury, które po odarciu z kontekstu stają się niepokojącą zagadką. - Zdobycie tytułu w plebiscycie Mistrzowie Fotografii to dla mnie przede wszystkim ogromne i niezwykle poruszające zaskoczenie. Jest mi niezmiernie miło, że moje prace znalazły tak duże grono odbiorców, którym spodobał się mój sposób patrzenia na świat. Po cichu liczę, że za pomocą tych kadrów udało mi się wywołać emocje. Dla mnie fotografia nie może być jedynie estetyczną dekoracją. Uważam, że jej prawdziwym zadaniem jest poruszanie nas głęboko wewnątrz, zmuszanie do refleksji i dotykanie tych zakamarków wrażliwości, o których na co dzień zapominamy. Te nagrody to dowód na to, że ten dialog chyba się udał. Bardzo państwu dziękuję za wszystkie głosy - mówi zwycięzca. Fotografia nauczyła go patrzeć na świat bardziej uważnie. Gra światła, ciekawy detal, emocja na czyjejś twarzy czy ulotna chwila, która trwa zaledwie kilka sekund... Myśli, że fotografia nie tylko pozwala utrwalać rzeczywistość, ale również pomaga ją lepiej rozumieć. Dzięki niej świat stał się bogatszy w szczegóły i historie.

FOTOGRAF ROKU II MIEJSCE W WOJEWÓDZTWIE

Skarbiec chwil, których nikt nie odbierze

KI
katarzyna.borek@polskapress.pl

Leżenie w trawie pełnej stokrotek i obserwowanie chmur - to były pierwsze „kadry", które zapisały się jej w pamięci.



FOT. RENATA RADECKA

Renata Radecka wychowała się na mazowieckiej wsi, wśród lasów, łąk, spadających liści, pracujących pszczół i pod ciągle zmieniającym się niebem. To ukształtowało jej spojrzenie na świat. Zdjęcia wybrane do plebiscytu pochodzą jednak z jej podróży do Tajlandii - z niezwykłej wioski na wodzie w zatoce Phang Nga. - Chciałam pokazać na nich codzienność mieszkańców, których całe życie toczy się na domach zbudowanych na palach. To społeczność, która utrzymuje się głównie z rybołówstwa i żyje w rytmie otaczającej ich natury. To miejsce i ci ludzie wywarli na mnie ogromne wrażenie. Najbardziej ujęło mnie to, jak niewiele posiadają w sensie materialnym, a jednocześnie jak wielką mają w sobie pogodę ducha i autentyczność. Ten kadr jest dla mnie wyjątkowy, ponieważ pokazuje, że szczęście nie zależy od bogactwa, a piękno można odnaleźć w najprostszych momentach życia – nawet tysiące kilometrów od domu - wyjaśnia.

Gdyby miała opisać siebie za pomocą jednego motywu, byłaby to fotografia podróżniczo-krajobrazowa, w której człowiek i natura żyją w pełnej harmonii. Ona sama z jednej strony szuka w życiu spokoju, harmonii i piękna natury, z drugiej - uwielbia odkrywać nowe miejsca. Co najważniejsze, ta fotograficzna podróż ma dla niej jeszcze głębszy sens, ponieważ dzieli ją z bliskimi. To właśnie te momenty, gdy odkrywają świat razem, a wokół nich rozpościera się nieskażona przyroda, definiują to, kim jest Renata Radecka i co jest dla niej w życiu najważniejsze. A wiadomość o wygranej w plebiscycie Mistrzowie Fotografii wywołała u niej ogromne wzruszenie.

FOTOGRAF ROKU III MIEJSCE W WOJEWÓDZTWIE

Widzi znacznie więcej i głębiej niż kiedyś

KI
katarzyna.borek@polskapress.pl

W wieku 35 lat zaczął szukać dla siebie nowego hobby. Chciał znaleźć coś, co pozwoli mu oderwać się od codziennej rutyny, zwolnić tempo i spojrzeć na świat z innej perspektywy.



FOT. WOJTEK JANCZAK

- Mój wybór padł na fotografię i była to świetna decyzja - mówi Wojtek Janczak. Aparat szybko stał się wiernym towarzyszem. Dzięki niemu zaczął dostrzegać piękno w zwykłych, codziennych sytuacjach oraz uczyć się cierpliwości w oczekiwaniu na idealne światło. Fotografia dała mu nie tylko przestrzeń na relaks po pracy, ale też wyjątkową szansę na zatrzymanie w kadrze ulotnych chwil z życia jego rodziny. - To hobby, które stale uczy mnie uważności i pozwala mi dokumentować świat dokładnie tak, jak go widzę - wyjaśnia. Gdyby miał opisać swój charakter za pomocą jednej tematyki, byłyby to zdjęcia niepozowane, reportażowe i kadry z backstage'u, bo uwielbia pokazywać to, co dzieje się za kulisami codziennego życia. Taki styl idealnie oddaje jego charakter i to, jak patrzy na świat. On nie szuka sztucznych uśmiechów. Interesuje go czysta prawda.

- Gdy dowiedziałem się o wygranej w plebiscycie Mistrzowie Fotografii, poczułem ogromne wzruszenie, niedowierzanie i czystą, dziecięcą radość. Dla mnie, jako dla amatora, który zaczął swoją przygodę z aparatem w wieku 35 lat, szukając po prostu odskoczni od codzienności, ten tytuł to spełnienie marzeń. Świadomość, że mogłem konkurować z prawdziwymi profesjonalistami i zdobyć takie uznanie, daje mi niesamowitego kopa do działania - opisuje.

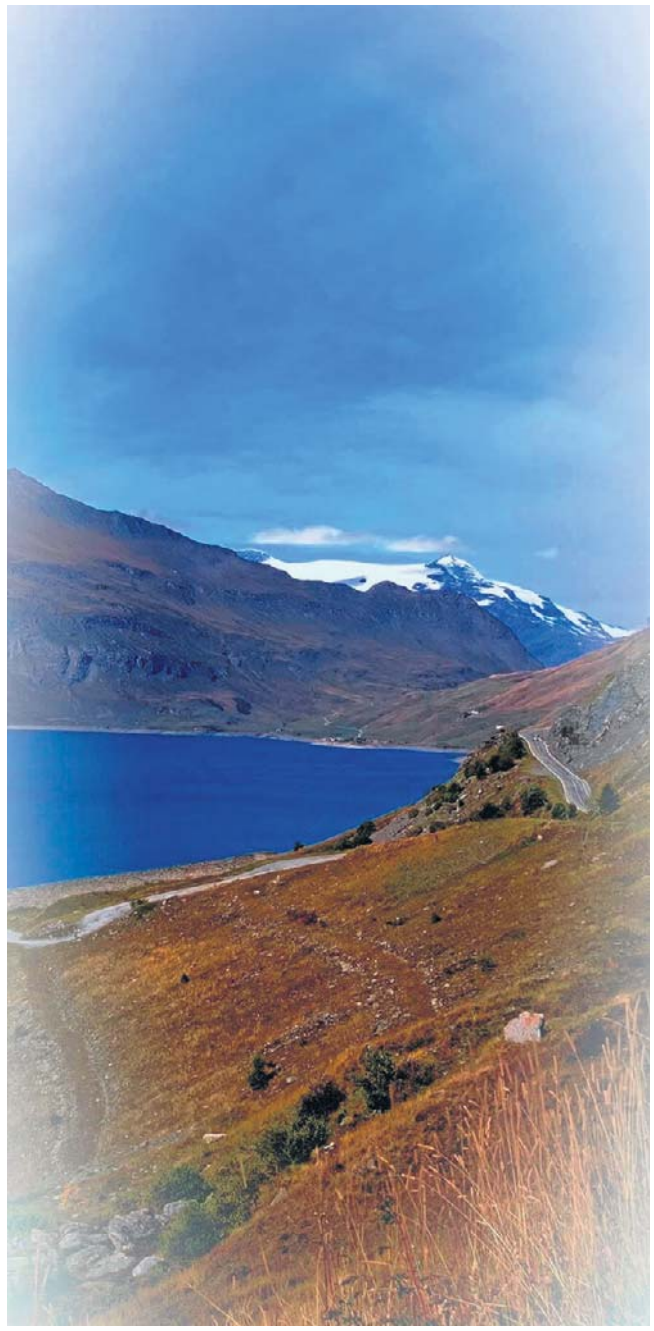
Kiedy w wieku 35 lat zaczął szukać nowego hobby, chciał znaleźć odskocznię od rutyny. Nie spodziewał się, że aparat stanie się nową parą oczu. - Dziś widzę znacznie więcej i głębiej niż kiedyś - wyjawia.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

MISTRZOWIE FOTOGRAFII 2026 - LAUREACI ETAPU POWIATOWEGO



Alicja Mączewska, powiaty: mławski, sierpecki i żuromiński



Bogusław Nawrocki, powiat pułtuski



Beata Michalec, Radom



Andrzej Sroka, powiat szydłowiecki

eprasa.pl 3daaa9cb0a

MISTRZOWIE FOTOGRAFII 2026 - LAUREACI ETAPU POWIATOWEGO



Danuta Adamczyk,
powiat białobrzeski i powiat kozienicki



Ewa Bykowska, powiat grodziski i powiat żyrardowski



Joanna Szewczyk,
powiat zwoleński

eprasa.pl 3daaa9cb0a

MISTRZOWIE FOTOGRAFII 2026 - LAUREACI ETAPU POWIATOWEGO



Gabriela Wąsowska, powiat miński



Jerzy Chrzanowski, powiat sochaczewski i powiat warszawski zachodni



Jolanta Rzeczkowska,
powiat ciechanowski



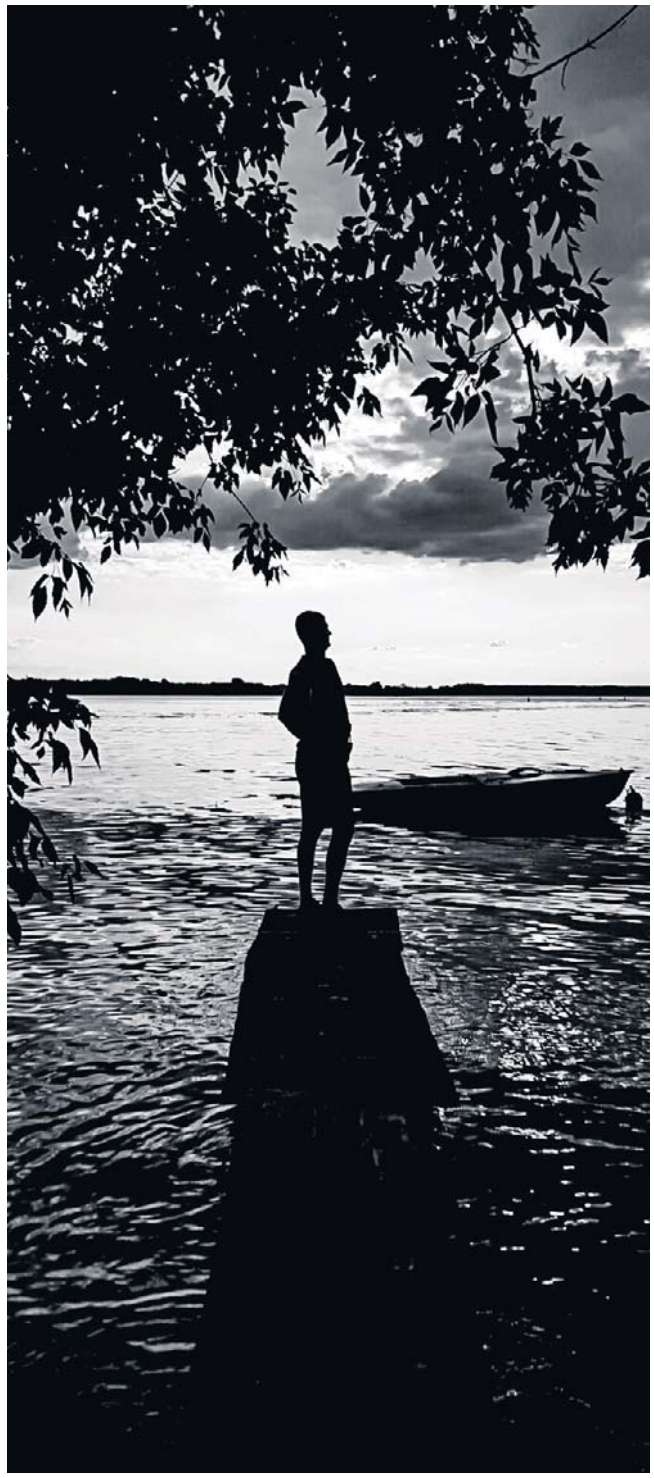
Filip Głowacki,
powiat pułtuski

eprasa.pl 3daaa9cb0a

MISTRZOWIE FOTOGRAFII 2026 - LAUREACI ETAPU POWIATOWEGO



Karolina Żółtowska, Płock i powiat płocki



Karolina Glegoła, powiat wołomiński



Piotr Pachocki, powiat radomski



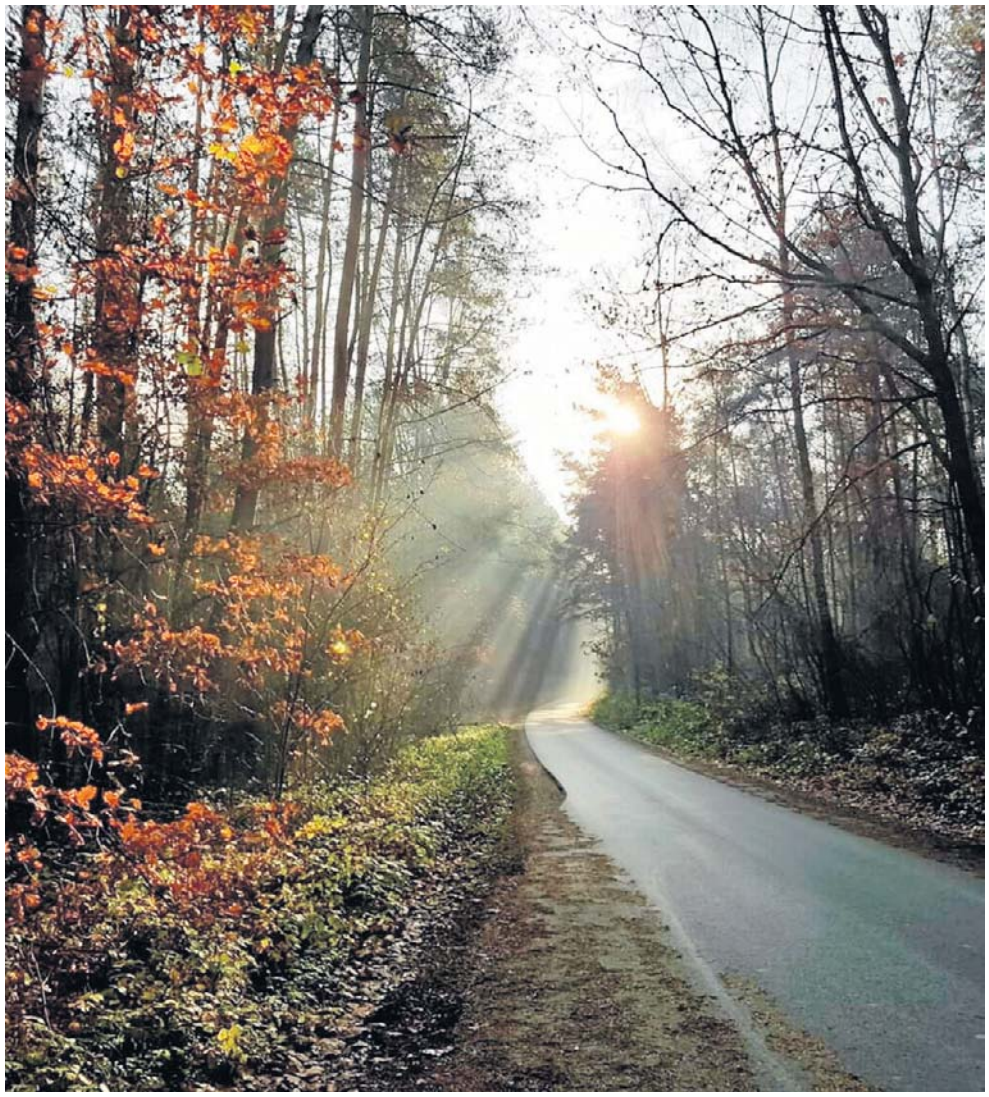
Magdalena Głażewska, powiat makowski i powiat przasnyski



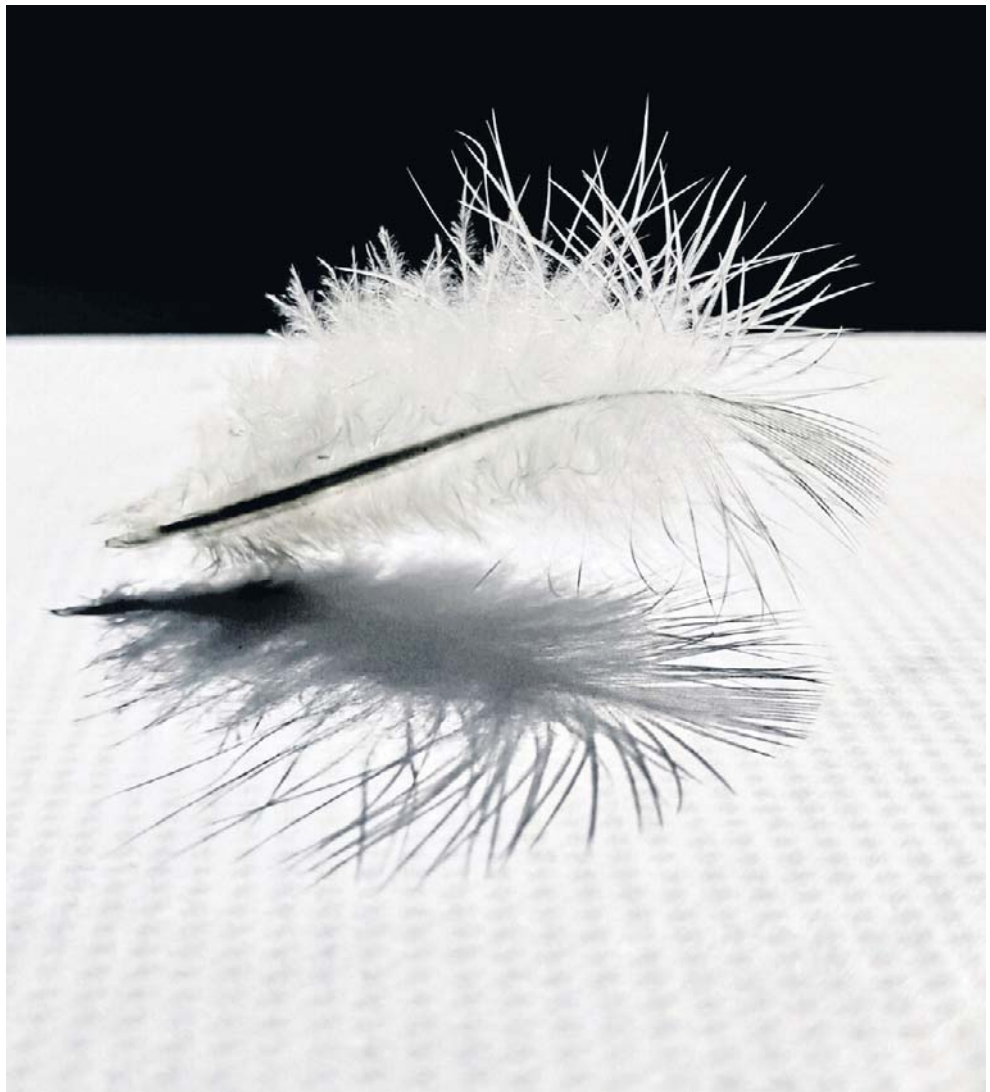
Krzysztof Walewski, powiat piaseczyński

eprasa.pl 3daaa9cb0a

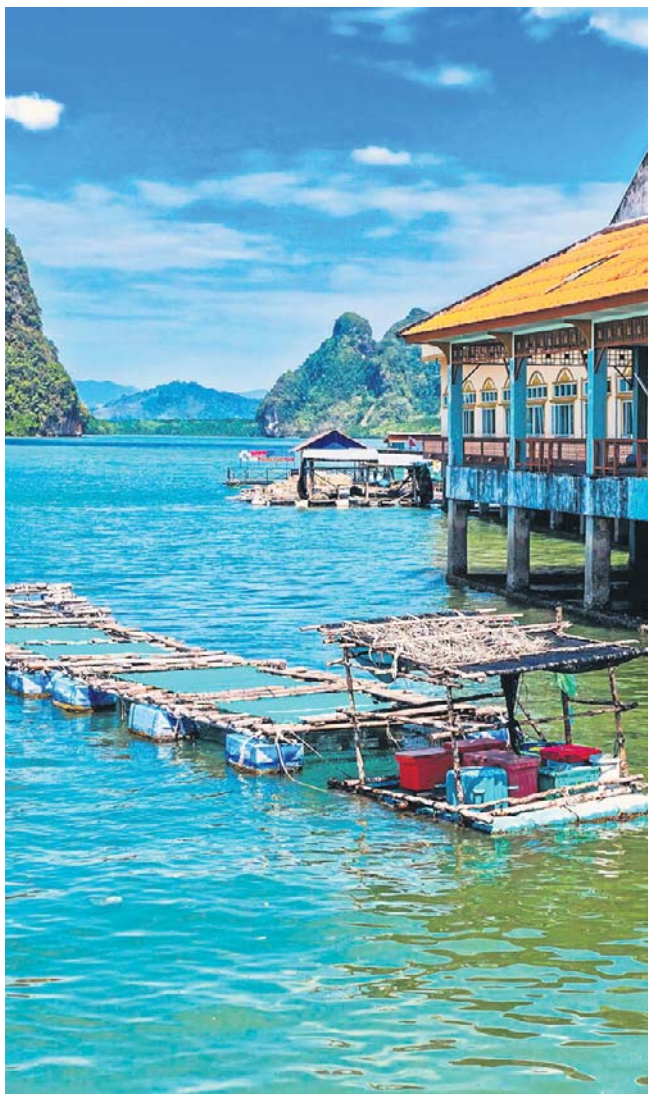
MISTRZOWIE FOTOGRAFII 2026 - LAUREACI ETAPU POWIATOWEGO



Monika Traczyk, powiat lipski



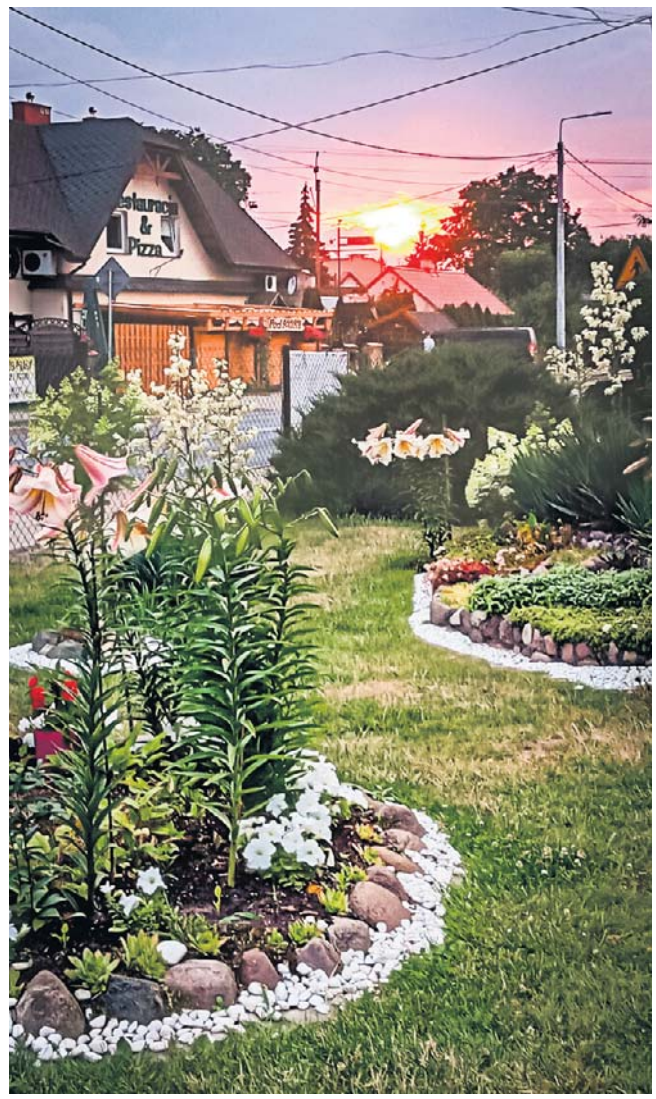
Paweł Tobolski, powiat płoński



Renata Radecka, Ostrołęka i powiat ostrołęcki



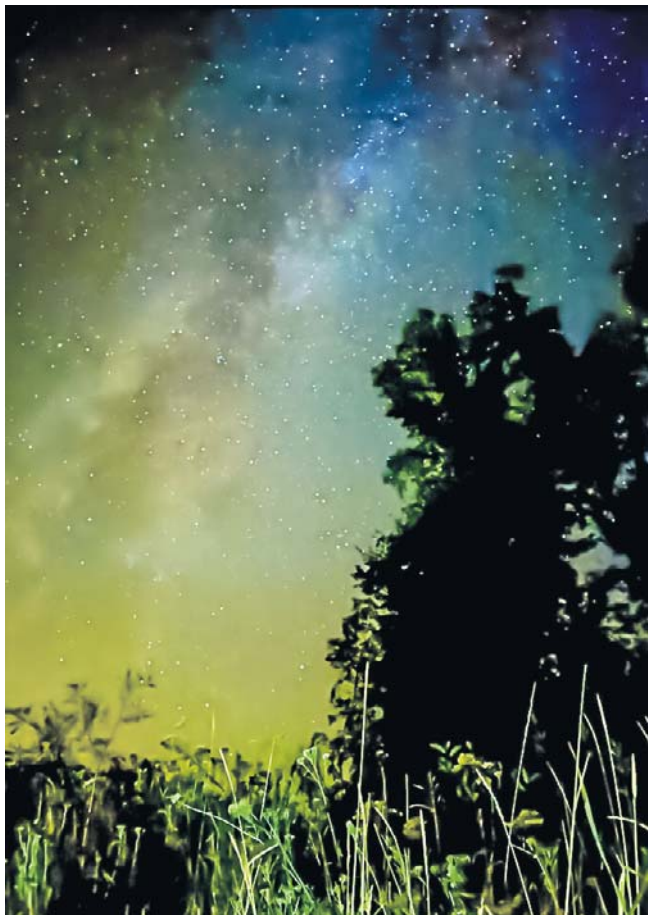
Tomasz Rębisz, powiat pruszkowski



Wanda Maciaszek, powiat gostyniński

eprasa.pl 3daaa9cb0a

MISTRZOWIE FOTOGRAFII 2026 - LAUREACI ETAPU POWIATOWEGO



Kamila Hawryluk, powiat garwoliński i powiat otwocki



Wiktoria Uba, Siedlce, powiat siedlecki i powiat łosicki



Wojciech Markowski, Warszawa



Wojtek Janczak, powiat legionowski i powiat nowodworski



Wioleta Lipiec, powiat grójecki

eprasa.pl 3daaa9cb0a

Ale on się zmieni, jeśli my podejmiemy decyzję, że chcemy zrobić krok w stronę duchowości. A duchowość to nie są żadne czary mary, nic z tych rzeczy! To jest zwykła codzienność dbania o siebie, o swoje własne emocje, granice. O to, żeby naprawdę kochać siebie w takiej formie, jaką dostaliśmy. Dbać o swoje ciało, które jest najlepszą historią nas samych, bo to jest nasz odbiornik wszystkiego. Zapisuje w sobie każdą emocję. I zasypiając każdego dnia, trzeba odpuścić złe emocje, podziękować za kolejny piękny dzień. Podziękować sercu, duszy, wszystkim narządom za to, że dały nam kolejny krok w rozwoju. Wtedy rano człowiek budzi się jak nowo narodzony.

Czy z tej drogi, z tej wędrówki duchowej wzięła się też „Gaja”?

Tak, w dużej mierze. Zaczęło się to dawno, tak naprawdę od płyty „Anima”, w której opowiadam o człowieku w kontekście wszechświata. Potem była płyta „Maria Magdalena”. Pomiędzy były inne popowe płyty, którymi się cieszyłam i jestem z nich bardzo dumna. Natomiast te dwa albumy, jeśli ktoś sobie ich posłucha, to zrozumie moją muzyczną drogę, która jest opowieścią o mnie samej, o mojej podróży duszy, o kierunku, w którym zmierzam. I bardzo wielu ludziom ta historia się przydała. Bardzo wielu.

Kiedy graliśmy „Marię Magdalenę” po piętnastu latach w Planetarium Śląskim, ilość listów, podziękowań szczególnie od młodych ludzi, mnie oszołomiła. Pisali, że moja muzyka, że cały ten medytacyjny koncert uratował im życie. Lały się łzy ze wszystkich stron, i z mojej, i z ich. Wszyscy wiemy, że media społecznościowe, internet i wszystko to, co wydarzyło się przez ostatnie lata jest wspaniałą wolnością i możliwością zdobywania wiedzy, ale jest to też wielki śmietnik, który ryje nam głowę. Musimy pamiętać, co wybieramy i co wspieramy swoją energią. Ludzie są przebodźcowani i to jest największy problem. My, dorośli, czasem sobie z tym nie radzimy. Ale my byliśmy wychowywani w PRL-u, gdzie nie mieliśmy telewizorów – mojej rodziny nie było na to stać, nie mieliśmy telefonów, mieliśmy tylko siebie, tę emocjonalną bliskość z ludźmi, rówieśnikami, rodzeństwem, rodzicami - niektórzy gorszą, niektórzy lepszą. Akurat ja miałam bardzo fajną rodzinę i byliśmy ludźmi powiązanymi ze sobą. Dzisiaj – przez technologię – jesteśmy ludźmi powiązanymi z całym światem. Czyli z kim? Z nikim! I to jest największa bolączka naszych czasów dla młodych ludzi, którzy przebodźcowani nie radzą sobie ze swoimi własnymi emocjami. A w internecie widzą świat, który jest wycinkiem prawdziwego życia – nie jest prawdą. Jaki Instagram jest prawdziwy? Żaden. Tam pokazujemy chwile, z których jesteśmy dumni, którymi się cieszymy. Urywki czegoś pięknego. Ale życie też jest trudne, czasem skomplikowane, czasem po prostu brzydkie. Świat jest doskonały w swojej niedoskonałości. I to wszystko trzeba umieć sobie powiedzieć. Jestem niedoskonały.

Co znaczy niedoskonały?

Właśnie. Inny niż koleżanka? To ona jest doskonała, a ja nie? Co to znaczy być doskonałym? Jesteśmy tu po to, żeby czegoś się uczyć, doświadczać, stawiać każdego dnia krok ku swojemu własnemu rozwojowi i zrozumieniu siebie. Nie można się porównywać z innymi. A internet i media społecznościowe wymuszają to na młodych ludziach. Stąd tyle depresyjnych sytuacji, samobójstw. To jest naprawdę ogromna skala, o której się na co dzień nie mówi, a przy tym brak jest wsparcia psychiatrów, psychologów, których jest po prostu za mało. Dlatego uważam, że muzyka i artyści są jedną z tych grup, która powinna brać jeszcze większą niż kiedykolwiek wcześniej odpowiedzialność za młodzież, do której mówi. I wielu młodych artystów to rozumie. Ja też rozumiem i dlatego opowiadam o tej płycie i przypominam o niej ciągle, ponieważ ona rzeczywiście powoduje, że zaczynasz rozumieć siebie i patrzysz na świat z innej perspektywy, co czasem niektórym naprawdę w realu ratuje życie.

Wspomniała pani o rodzinie, o bliskości. Pani była związana z babcią i to od niej dostała pani pierwsze szpilki! Jak w tych szpilkach iść przez życie tak, żeby się nie połamały?

Dobre pytanie – bardzo kobiece i sprytne (śmiech). To jest wszystko to, co powiedziałam przed chwilą. Mnie się wiele razy łamały szpilki. I miałam bardzo różne lata. Bywałam przemęczona, sfrustrowana, przeciążona. Trzeba pamiętać o tym, że artysta, który ma rozpędzoną karierę, która w zasadzie się od 20-30 lat nie zatrzymuje, wciąż jest w obrocie. A przecież przede wszystkim jestem mamą trójki dzieci. W tym wszystkim chciałam je wychować na dobrych ludzi. Na tyle, na ile potrafię. Dzieci uczą się od nas, są naszym lustrem. To, co najważniejsze, to poświęcanie im czasu, bycie z nimi. Wychowanie to nie są prezenty, to nie jest pouczanie. To jest bycie w procesie.

Wiem, że w obecnych czasach mamy o wiele trudniej, niż mieliśmy kiedyś, chociażby w tym PRL-u, który pamiętam z dzieciństwa. Wtedy wychowywała nas i ciocia, i babcia, i dziadek. To po prostu była społeczność, była jakaś bliskość między ludźmi. Dzisiaj to jest o wiele trudniejsze, bo jesteśmy czasem naprawdę sami z tym wszystkim. I ja rozumiem rodziców i ich frustrację. I jestem dumna z każdego, kto podjął tę rękawicę i postanowił stworzyć rodzinę i nauczyć się bezwarunkowej miłości. Wiem, jakie to jest trudne. Nieraz łamałam szpilki, uczyłam się na swoich błędach, starając się ich nie powtarzać. I szłam dalej. Podnosiłam głowę i po prostu szłam. Najgorzej to zapaść się w sobie. I pozwolić sobie na to, żeby świat zewnętrzny miał na nas tak duży wpływ, żeby to nas raniło i łamało. To jest najgorsze. A sama też wiele razy wpadałam w taką historię. Dzisiaj już się to nie dzieje. I nawet jak coś mnie urazi – czy to jest hejterski komentarz, czy coś, co nie jest miłe – to przypominam sobie czas, w którym naprawdę było źle i zamykałam się w sobie na wiele dni. Dzisiaj to jest pięć minut. Czasem pojawia się łza, ale to jest łza, która rozumie, że musi przepłynąć przez ciało, żeby uwolnić emocje. Ona nie robi mi krzywdy i nie zamyka mnie w sobie samej.

Muzyka też ma moc terapeutyczną, a pani muzyka pojawi się w ten weekend w supraskim Teatrze Wierszalin, a chwilę później – bo 12 września – wystąpi pani w bardzo pięknej, kolorowej odsłonie z projektem Roma Symphonica w Operze i Filharmonii Podlaskiej.

Nagrałam tę płytę wiele lat temu z Boban Markovićem, który jest pierwszą trąbką Serbii. To jest wspaniały romski muzyk, który szukał wokalistki do swoich piosenek, żeby ponieść ich kulturę i pokazać ją jeszcze w innym świecie. My jesteśmy z Romami związani, bo przecież jesteśmy krajem otwartym, takim, który chce zrozumieć innych ludzi. Nawet jeśli czasem coś nas różni, jeśli wkracza polityka, to i tak uważam, że my – jako Polacy, jako ludzie – jesteśmy otwarci. Przez wieki tak było, więc warto o tym pamiętać. Romowie zawsze tu mieszkali i zawsze tu byli. W Stalowej Woli, gdzie się wychowywałam, lata temu było takie osiedle, gdzie mieszkali Romowie. Byli już bardziej współcześni, chodzili do szkoły, byli zasymilowani z naszym społeczeństwem, więc to były już inne czasy niż kiedyś. Niemniej żyło się z nimi dobrze. Pamiętam, jak jeden z nich śpiewał w chórze mojego taty. Piękny chłopak, pięknie śpiewał, bo oni mają dar do muzyki, specyficzną wrażliwość, tworzą piękne melodie, piękną muzykę. Dużo wolności w tym jest. Pamiętam, że kiedy dostałam ten materiał Bobana Markovića, to się w nim zakochałam. Napisaliśmy polskie teksty i ruszyliśmy w trasę, która osiągnęła bardzo duży sukces. I postanowiłam w 30-leciu swojej pracy zagrać tę płytę, ze względu na to, że jest magiczna, kolorowa, piękna i zjawiskowa. Cudowne piosenki, cudowna muzyka, a my na tej scenie robimy naprawdę show. I zapraszamy!

Motywem przewodnim naszej rozmowy stała się droga. Ta od 1994 roku do dzisiaj, ale też ta droga duchowa. A jaka jest droga od „Dziewczyny szamana” do „Mamacity”?

Myślałam, że spyta pani jaka jest droga od „Dziewczyny szamana” do szamanki (śmiech). Droga była długa. „Dziewczyna szamana” jest symbolem, wielkim przebojem. Stworzyłam ją z Grzegorzem Ciechowskim – ja pisałam muzykę, on tekst. Ale rzeczywiście z perspektywy czasu widzę, że byłam „Dziewczyną szamana”, czyli kogoś, kto był moim mentorem. Grzesiu był cudownym człowiekiem. Bardzo dużo przeżył i stworzył, i chciał zrobić krok w swoim rozwoju już nie jako wokalista, tylko jako kompozytor, ale też producent innych artystów, co mu się świetnie udało. Ja z „Dziewczyną szamana” byłam tego najlepszym przykładem. Dzisiaj już nie czuję się niczyją dziewczyną. Sama wiem co robię i kim jest szamanka. To jest moja własna wewnętrzna siła, do której dochodziłam przez wiele lat. Ale jestem dumna, że się nie złamałam i nie skręcałam w strony, które mi się muzycznie nie podobały, a były w danym momencie modne. Natomiast w 30. roku swojej muzycznej kariery pomyślałam, co jeszcze mogę zrobić, czym zaskoczyć fanów? I wtedy wpadłam na mezalianse Steczkowskiej. Chciałam, żeby to było totalnie odjechane i żeby to były takie połączenia, na które nikt nie wpadnie. Pierwszą postacią był Staszek Karpiel-Bułecka – świetny muzyk, bardzo energetyczny. Nagraliśmy „Pójdę tam”. To było o górach, pokochałam tę piosenkę, zgodziłam się w niej zaśpiewać. Ale to nie był taki mezalians, którego ktoś by nie wymyślił, prawda? Nikt za to nie wymyślił mezaliansu Steczkowska – Skolim. To ja wymyśliłam (śmiech), zachęcana trochę przez moje dzieci. Pomyślałam: dlaczego nie? Niech wszyscy gadają, niech będą zaskoczeni. Niech też pójdzie taki sygnał do kobiet po 50., czyli dojrzałych kobiet, żebyśmy nie starały się być niewidzialne. Że mamy swoje prawo do tego, żeby być nadal sexy, żeby nadal cieszyć się swoją urodą, sobą, tym, że w dużej mierze odchowałyśmy dzieci i mamy teraz wreszcie czas dla siebie. Czy wszyscy muszą mieć idealnie 58 w pasie, żeby ubrać obcisłą sukienkę czy szpilki? Ja tak nie uważam. Absolutnie nie! Mnie się podobają bardzo różne kobiety. Najpiękniejsze są te, które emanują swoją własną, piękną siłą. Myślę, że wiele kobiet wie, że to nie rozmiar czyni je pięknymi. Są kobiety, do których mężczyźni lgną, chociaż wcale na pierwszy rzut oka nie wyglądają jak dziewczyny z Instagrama. Bo chodzi o to, czym one emanują. I dlatego powstał ten utwór. On ma bardzo popową formę, ale wiele kobiet to zrozumiało, bawiąc się ze mną przy tej piosence. Dlaczego nie mogę być „Mamacitą”? Kto mi zabroni i dlaczego miałby to oceniać? Po prostu bawmy się tym!

Powstały też kolejne mezalianse?

Tak, z ikoną lat 90., czyli Paktofoniką. Uważam, że zrobili bardzo dużo dla społeczności, z którą do tej pory się nie łączyłam, bo też to jest trochę inny świat niż mój. Ale piosenka z Rahimem „Tam gdzie śpi nadzieja” jest po prostu świetna. Zawsze ich podziwiałam. To byli jedni z pierwszych prawdziwych raperów. Później jest kawałek z Tribbsem, który jest świetnym artystą młodego pokolenia. Jakie będą jeszcze mezalianse? Zobaczymy, może uda mi się jeszcze jeden nagrać.

Gdzie pani droga teraz panią prowadzi?

Zobaczymy. Cały ambaras polega na tym, żeby nie myśleć o końcu tej drogi. Jeśli zrozumiemy, że droga jest sensem, to nie czekamy na to, żeby zobaczyć jej koniec. Bo koniec tej drogi jest też naszym końcem. To jest tak jak z dążeniem do sukcesu. Myślimy sobie: „jak będę miał 100 000 na koncie, będę wreszcie szczęśliwy”. A jak już masz te 100 000, to nie jesteś szczęśliwy. Jeśli wewnątrz nie jesteś szczęśliwy, to nawet 100 milionów cię nie uratuje. Jest mnóstwo bogatych i nieszczęśliwych ludzi. Tak samo jest z sukcesem. Niektórzy myślą: Jak sprzedam tyle i tyle płyt, jak zagram tyle i tyle koncertów, to będę wreszcie szczęśliwy. To tak nie działa. Droga mnie cieszy. Droga, a nie cel.

Nie można się porównywać z innymi. A internet i media społecznościowe wymuszają to na młodych ludziach. Stąd tyle depresyjnych sytuacji, samobójstw

JUSTYNA STECZKOWSKA
wokalistka

eprasa.pl 3daaa9cb0a

MUNDIAL

Piłka nożna przegrała z polityką i potężnym ego Donalda Trumpa

Czas na podsumowanie mundialu. Refleksje mogą być dość gorzkie nie dlatego, że na mistrzostwach zabrakło naszej reprezentacji. Problemem są wielka polityka, tradycyjnie wielkie pieniądze i społeczne aspekty futbolu

Martyna Kucybała

Przez ostatni miesiąc oczy całego świata skierowane były na boiska w USA, Kanadzie i Meksyku, gdzie odbywały się XXIII Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej. To było zdecydowanie wielkie wydarzenie, zwłaszcza że po raz pierwszy w historii w turnieju zagrało 48 drużyn. Niestety, obok zaciętych meczów i perfekcyjnego występu Hiszpanii pojawiły się zdecydowanie inne kwestie, których nie można zignorować. Po tegorocznym mundialu nasuwa mi się pięć wniosków.



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Kibice Argentyny mogą czuć rozczarowanie tegorocznym mundialem

1. FIFA straciła resztki moralnego autorytetu

Organizacja, która powinna stać na straży uczciwej rywalizacji, coraz częściej kieruje się przede wszystkim pieniędzmi i politycznym pragmatyzmem. Nie jest to jednak żadna nowość. FIFA od lat zmaga się z zarzutami o brak przejrzystości i skomplikowane związki z polityką. Wystarczy przypomnieć afery dotyczące wyboru gospodarzy wcześniejszych turniejów, oskarżenia wobec działaczy czy krytykę sposobu zarządzania organizacją. Nie da się dziś nie zauważyć, że FIFA pod kierownictwem Gianniego Infantino coraz mocniej stawia na maksymalizowanie przychodów. Krytycy organizacji mówią nawet wprost o tym, że FIFA jest skorumpowana. W oczach wielu kibiców chodzi o to, że wszelkie pieniądze i polityczne układy zaczynają wpływać na decyzje sportowe.

Dobrym przykładem uzasadniającym te zarzuty jest relacja między Donaldem Trumpem a Giannim Infantino. Prezydent USA napawa się uwagą, jaką otrzymał od FIFA. Najpierw była Pokojowa Nagroda od tej organizacji na otarcie łez – zamiast prawdziwego Nobla. Teraz Trump miał okazję zarządzać największą piłkarską imprezą na świecie, i to dosłownie. W trakcie turnieju nie zabrakło kontrowersji w związku z anulowaniem czerwonej kartki dla piłkarza reprezentacji USA Folarina Baloguna. Donald Trump miał osobiście kontaktować się z Infantino w sprawie tej decyzji, a kara została ostatecznie zmieniona tak, by piłkarz mógł wystąpić w kolejnym meczu. Aż dziwne, że prezydent USA nie załatwił swojej reprezentacji miejsca na podium.

2. Mundial nie dla kibiców, tylko dla Trumpa

Skoro o prezydencie USA mowa, to nie można nie wspomnieć o tym, że w jego oczach to on jest największym wygranym tego turnieju. Była to dla niego idealna okazja, by pokazać światu potęgę Stanów Zjednoczonych. Problemem jest jednak to, że bardziej wyglądało to na jego osobisty sukces, a nie jak święto futbolu.

Trump wielokrotnie przedstawiał mundial jako dowód własnej skuteczności. Podkreślał rekordową frekwencję, zainteresowanie kibiców i ogromne wpływy gospodarcze. Jego otoczenie mówiło o największym turnieju w historii oraz o tym, że wizja prezydenta stała się rzeczywistością. On sam również zachowywał się tak, jakby zdobył Puchar Świata. Dobitnie pokazała to scena podczas ceremonii finałowej. Zamiast pozostawić całą uwagę zwycięskiej drużynie, prezydent USA znalazł się w centrum wydarzenia i robił wszystko, by do samego końca być obok piłkarzy Hiszpanii. Przez cały turniej Trump próbował wykorzystać piłkę nożną do budowania własnego wizerunku.

Prezydent USA napawa się uwagą, jaką otrzymał od FIFA. Najpierw była Pokojowa Nagroda od tej organizacji na otarcie łez – zamiast prawdziwego Nobla

MARTYNA KUCYBAŁA

Stany Zjednoczone chciały udowodnić, że są otwartym, nowoczesnym i przyjaznym gospodarzem. Jednak polityczne konflikty, kwestie migracyjne i ingerencja w sprawy sportowe sprawiły, że efekt był odwrotny. A wezwania do miłości podczas halftime show przez kraj, który od kilku dni ponownie zabija cywilów w Iranie i wspiera izraelski rząd w anihilowaniu Palestyńczyków, było niezwykłą hipokryzją.

3. Zmiany są potrzebne, ale mundial nie może rosnąć bez końca

Trzecim ważnym wnioskiem po mistrzostwach świata w USA jest to, że futbol musi się rozwijać, ale rozwój nie może oznaczać nieustannego powiększania turnieju. Piłka nożna ewoluuje, to normalne. Zmieniają się przepisy, technologia czy organizacja rozgrywek. Wiele zmian wyszło tej dyscyplinie sportu na dobre. Mam na myśli oczywiście wprowadzenie VAR-u, technologii linii bramkowej czy nowych metod analizy danych. Jednak zmiana podporządkowana myślom o zyskach nie do końca może skończyć się dobrze.

Mundial w USA był pierwszym turniejem rozgrywanym w formacie 48 drużyn. FIFA argumentowała, że dzięki temu więcej krajów otrzyma szansę udziału w największym piłkarskim wydarzeniu świata. Jest w tym pewna racja. Dla wielu reprezentacji sam awans na mundial jest historycznym wydarzeniem, a kibice z mniejszych państw zasługują na możliwość zobaczenia swojej drużyny na największej scenie.

Z drugiej strony należy pamiętać, że są pewne granice. Jeżeli mistrzostwa świata będą dalej powiększane, w pewnym momencie najważniejszy turniej globu może zacząć przypominać wielki festiwal marketingowy zamiast elitarnej rywalizacji najlepszych drużyn globu. FIFA musi zrozumieć, że więcej nie zawsze oznacza lepiej.

4. Piłka nożna nie jest już dostępna dla każdego

Czwarty wniosek po mundialu jest chyba najbardziej oczywisty: pieniądze wygrały. Mistrzostwa świata w USA były rekordowym sukcesem finansowym FIFA. Organizacja mogła liczyć na gigantyczne wpływy ze sprzedaży praw telewizyjnych, reklam, sponsorów oraz biletów. Z ekonomicznego punktu widzenia był to spektakularny sukces, na którym skorzystała FIFA, sponsorzy, największe firmy świata, państwa organizujące turniej. A kibice? Oni na pewno na tym nie zyskali.

Ceny biletów na mecze osiągnęły poziomy, które dla wielu fanów stały się nieosiągalne. Żaden przeciętny kibic nie jest w stanie wydać 5 tysięcy dolarów na mecz. To całkowicie mija się z tym, czym piłka nożna być powinna. FIFA tłumaczy wysokie ceny popytem i zasadami rynku. Z biznesowego punktu widzenia jest to logiczne. Jeśli ktoś jest gotowy zapłacić ogromne pieniądze za miejsce na finale, organizacja może uznać, że znalazła właściwą cenę. Jednak futbol to coś więcej niż tylko produkt, a kibice nie powinni być traktowani wyłącznie jako konsumenci. Wszak bez nich nie byłoby tego sportu.

Jeżeli mistrzostwa świata będą dalej powiększane, w pewnym momencie najważniejszy turniej globu może zacząć przypominać wielki festiwal marketingowy

MARTYNA KUCYBAŁA

5. Futbol nie może zostać w pełni zamerykanizowany

Stany Zjednoczone chciały stworzyć turniej w swoim stylu. W amerykańskim sporcie ogromną rolę odgrywa oprawa, reklamy i dodatkowe atrakcje. Siła piłki nożnej tkwi jednak w prostocie, której nie potrzeba wielkiego show na wzór Super Bowl. Choć tegoroczne Halftime Show z występami Madonny czy Justina Biebera było ciekawą rozrywką, to wciąż nie jest to coś, co pasuje do piłki nożnej. Mundial w Ameryce był więc paradoksem. Z jednej strony był najbardziej komercyjnym turniejem w historii, z drugiej udowodnił, że największa siła futbolu nadal tkwi w emocjach kibiców, pasji zawodników i wyjątkowej atmosferze, której nie da się kupić za żadne pieniądze.

To ważna lekcja dla FIFA i przyszłych gospodarzy kolejnych edycji mundialu. Oczywiście mistrzostwa świata muszą być nowoczesne i atrakcyjne dla nowych pokoleń kibiców. Nie można ignorować telewizji, mediów społecznościowych czy potrzeb sponsorów. Jednak zbyt daleko idąca komercjalizacja może zniszczyć to, co zawsze przyciągało ludzi do futbolu. Bo to przecież emocje ibudowanie napięcia na boiska sprawiły, że piłka nożna to dziś najpopularniejszy sport na świecie.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

SYLWETKA

Maciej Rybus – piłkarz przeklęty. Wrócił, ale piętno „Ruskiego" ciąży na jego życiu

Maciej Rybus, wielokrotny reprezentant Polski w piłce nożnej i mistrz Rosji, wrócił do rodzinnego Łowicza. Wielka kariera, wielka miłość i pieniądze rozsypały się w Rosji. Zostało piętno tego, który źle wybrał po napaści Rosji na Ukrainę

Anna Gronczewska

Maciej Rybus jako jeden z pierwszych pojawia się na treningu. Czeka na jego rozpoczęcie, rozmawiając z Dawidem Sutkiem, dyrektorem sportowym trzecioligowego Pelikana Łowicz. To między innymi dzięki niemu znów trenuje na stadionie przy ul. Starzyńskiego.

– To tu przed laty zaczynałem treningi – mówi nam Maciej Rybus. – Mam wielki sentyment do tego miejsca. Mieszkałem niedaleko stadionu, na osiedlu. Po 10 minutach byłem na treningu.

Maciej Rybus to legenda Łowicza. To w tym mieście przyszedł na świat 19 sierpnia 1989 roku. Piłkę kopał w Pelikanie, by potem przenieść się do Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Szamotułach. Stamtąd trafił do Legii Warszawa. Debiutował w tym klubie. Z Legią sięgnął po Superpuchar i trzy razy podnosił Puchar Polski. Wtedy też dostał powołanie do reprezentacji Polski, w której zagrał 66 meczów i strzelił dwie bramki. Zagrał na odbywających się w Polsce i Ukrainie Euro 2012, a w 2018 roku na organizowanych w Rosji mistrzostwach świata.



FOT. ANNA GRONCZEWSKA

Maciej Rybus ma 37 lat. Próbuje odbudować swoje życie grą w trzecioligowym Pelikanie Łowicz

Trudne związki z Rosją

To właśnie Rosja dała mu sławę, pieniądze, rodzinę, a potem społeczne odtrącenie. Maciej Rybus grał w najlepszych rosyjskich klubach. Był piłkarzem moskiewskich zespołów Lokomotiw i Spartak, grał w Rubinie Kazań. W Rosji zdobywał mistrzostwo tego kraju, puchar, grał w Lidze Mistrzów.

W Rosji Maciej spotkał miłość swego życia, tak przynajmniej mu się wtedy wydawało. Okazała się nią piękna Lana Baimatowa. Poznał ją, gdy grał w Lokomotiwie Moskwa. Pracowała w restauracji znajdującej się w pobliżu hotelu, w którym mieszkał. Podobno była to miłość od pierwszego wejrzenia.

– Poznaliśmy się w Moskwie, w restauracji, w której pracowałam jako menedżer – mówiła w wywiadzie dla osetyjskiej gazety „Słowo" Lana. – Kiedy Maciej przyjechał do Rosji, aby zawrzeć umowę z Lokomotiwem Moskwa, przyszedł na obiad z naszym wspólnym znajomym. Potem zaczął przychodzić i na lunch, i na kolację, i po treningu. Dopóty, dopóki nie dałam mu swojego numeru telefonu.

Dwa wesela

W lutym 2018 roku para zaręczyła się, a miesiąc później wzięła huczny ślub. Pierwszy odbył się we Władykaukazie w Osetii Południowej, skąd pochodzi Lana. Do hotelu Grand Alexander młoda para przyjechała na przyjęcie weselne Rolls-Royce'em Phantomem VIII, eskortowało ją trzech jeźdźców ubranych w tradycyjne stroje osetyjskie. Maciej i Lana pierwszy taniec zatańczyli do piosenki „Perfect" Eda Sheerana. Następnie panna młoda zatańczyła osetyjski taniec ślubny, a pan młody ezginkę – ludowy taniec kaukaski.

W 2019 roku mieli kolejny ślub, tym razem w Łowiczu, w kościele św. Leonarda, a wesele w hotelu Rozdroże w Nieborowie.

– Stres może nawet był trochę większy niż za pierwszym razem – mówił po polskim ślubie Maciej Rybus. – To był ślub głównie dla mojej rodziny i znajomych. Nie wszyscy mogli przyjechać do Rosji. Ciężko jest ogarnąć tyle wiz, było z tym naprawdę dużo roboty. Dlatego zdecydowaliśmy się na dwa śluby.

Lana i Maciej doczekali się dwóch synów. Robert ma dziś 8 lat, a Adrian 5.

Trudny wybór

Wydawało się, że po wybuchu wojny Rosji z Ukrainą Rybus wróci do Polski. Tak się jednak nie stało. Na piłkarza wylała się fala hejtu. On sam przeniósł się z Lokomotiwu Moskwa do moskiewskiego Spartaka, a potem do Rubinu Kazań. Decyzję o pozostaniu w Rosji wyjaśnił w rozmowie z Sebastianem Staszewskim z TVP Sport.

– W Rosji mam żonę, dwóch synów, nieruchomości, życie, które rozwijało się przez ponad dziesięć lat – tłumaczył Maciej Rybus. – To tam zostałem prawdziwym mężczyzną, założyłem rodzinę, zarobiłem pieniądze i zabezpieczyłem naszą przyszłość. Tam też osiągnąłem największe sukcesy piłkarskie. Zostawienie tego wszystkiego z dnia na dzień nie było takie proste. Rozumiem, każdy na moim miejscu miałby prawo podjąć swoją decyzję. Ja podjąłem swoją. Nie pod wpływem nacisków ludzi czy wpisów w internecie, ale zgodnie z moim sumieniem. Lubię życie w Rosji, w Moskwie. Szybko się tam zaaklimatyzowałem, poznałem język, ludzi, którzy są moimi przyjaciółmi. Rodzina czuje się tam komfortowo. Niestety, wybuchła wojna... Jakiś czas temu, gdy leciałem na wakacje, miejsce obok mnie zajął Anatolij Tymoszczuk, legenda reprezentacji Ukrainy. Po wojnie został w Petersburgu. Jest w podobnej sytuacji co ja, ma rosyjską żonę, dzieci, które się tam urodziły. I miał podobne dylematy. Ktoś powie, że zarobiliśmy dużo pieniędzy, więc w każdej chwili moglibyśmy przeprowadzić się na przykład do Hiszpanii czy na Cypr. Pewnie moglibyśmy, a le to byłoby rozpoczynanie życia od nowa. Nic przyjemnego, szczególnie dla dzieci.

Pisali, żeby zdechł

W tym samym wywiadzie Maciej Rybus odniósł się też do hejtu, który na niego spadł. Mówił, że jako zawodowy sportowiec wielokrotnie spotykał się z ostrą krytyką, ale to, co wydarzyło się po wybuchu wojny, było jak lawina, która go przygniotła.

– W pewnym momencie nie dawałem rady, skala hejtu była nieprawdopodobna – mówił Sebastianowi Staszewskiemu. – To były tysiące wpisów, setki prywatnych wiadomości. Niektóre szły po bandzie, pisano na przykład, żebym zdechł. Ludzie z mojego otoczenia radzili mi rezygnację z mediów społecznościowych, ale nie chciałem dać się zaszczuć. Ostatecznie tego nie zrobiłem, ale przez kilka miesięcy starałem się nie wrzucać niczego na Twittera czy Instagrama, bo jakakolwiek aktywność powodowała wylew szamba. Co ciekawe, te emocje widziałem tylko w internecie. Na ulicach nikt mnie nie zaczepiał: ani w Rosji, ani w Polsce, ani w żadnym innym miejscu. Niedawno w Antalyi trafiliśmy na grupę Polaków. Jedyne, co od nich usłyszałem, to prośby o wspólne zdjęcie. Podobnie było tuż po wybuchu wojny, kiedy chciałem przylecieć do kraju. Połączeń z Moskwą już nie było, ktoś podpowiedział, żeby lecieć do Kaliningradu, a później przekroczyć granicę pieszo. Podróżowałem ze starszym synem, ludzie bardzo nam pomogli. Sytuacja zmieniała się dopiero w sieci. Tam od razu stawałem się „ruskim".

Hejt wylał się również na żonę piłkarza. Lana dostawała obraźliwe wpisy – po polsku, rosyjsku, angielsku. Przeszła piekło.

– Ale to Osetyjka z Władykaukazu, a tam kobiety są bardzo silne – zapewniał Sebastiana Staszewskiego Maciej Rybus.

Koniec wielkiej miłości

W ostatnim czasie zmieniła się sytuacja rodzinna Macieja Rybusa, który rozwiódł się z Laną. Pierwsze rysy w ich małżeństwie pojawiły się w 2024 roku, a rok później, w listopadzie, rozwiedli się. Podobno to Lana wystąpiła o rozwód i podział majątku. Przez ten czas para nie komentowała rozstania.

Teraz Maciej Rybus mieszka w Łowiczu, u rodziny. Przyjechał do Polski z synami.

– Wiele wskazuje, że przez pewien czas będą ze mną – powiedział nam Maciej Rybus. – Obaj lubią kopać piłkę. Często grają przed domem, chodzą też na treningi do Akademii Pelikana Łowicz. Coraz lepiej mówią po polsku.

Maciej Rybus nie podpisał jeszcze kontraktu z Pelikanem Łowicz, ale wiele wskazuje, że tak zrobi. Przez rok nie grał w profesjonalną piłkę, ale liczy, że szybko nadrobi zaległości i będzie motywował młodych piłkarzy tego klubu. Pelikan Łowicz w tym roku awansował do III ligi.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

STYL ŻYCIA

Ulepieni z marzeń lepią pamięć. Jak miłość i glina ocaliły ginącą tradycję Suwalszczyzny

Są miejsca, które powstają z biznesowego planu. I są takie, które rodzą się z marzeń noszonych przez całe życie. Warsztat Tradycji Gliniuszka, czyli pracownia ceramiczna Joanny Jakubowskiej – Pohl i Przemysława Pohl w Maćkowej Rudzie należy do tej drugiej kategorii. To opowieść o dziecięcej fascynacji, odwadze, która dojrzewała latami, i miłości, dzięki której marzenia stały się wspólnym projektem

Anna Gryza-Aneszko



FOT. ANNA GRYZA-ANESZKO

Joanna Jakubowska-Pohl i Przemysław Pohl tworzą w Maćkowej Rudzie piękną ceramikę. Planują zbudować tu niewielki ośrodek tradycyjnego garncarstwa. Taki, w którym historia nie stoi za muzealną szybą, a jest żywa i można jej dotknąć

Maćkowa Ruda 50 (pow. sejneński). Od progu pracowni Gliniuszka pachnie gliną. Na drewnianych półkach stoją misy, kubki i dzbany inspirowane dawnym garncarstwem Suwalszczyzny. Jedne czekają na szkliwienie, inne dopiero schną po zdjęciu z koła garncarskiego. W rogu stoi piec do wypału – serce całego warsztatu. To właśnie tutaj miękka glina zamienia się w ceramikę, która może przetrwać dziesiątki, a może nawet setki lat. Na stole czekają na malowanie różnorodne naczynia. A pośród tego wszystkiego kręci się dwoje ludzi – Joanna Jakubowska - Pohl z Sejn oraz Przemysław Pohl z Leszna. Połączyła ich miłość – nie tylko do siebie, ale także do gliny.

– Możemy chyba powiedzieć, że jesteśmy jedynymi garncarzami na Suwalszczyźnie – mówi Joanna. – Są w regionie pracownie ceramiczne, są osoby, które czasem siadają do koła garncarskiego, ale jeśli chodzi o takie tradycyjne garncarstwo, nawiązujące do tego, co kiedyś robiono tutaj, to właściwie już go nie ma.

Zafascynował ją białoruski garncarz przy drewnianym kole

Warsztat Tradycji Gliniuszka istnieje od czterech lat. Jednak marzenie o tym miejscu zrodziło się znacznie wcześniej, kiedy kilkuletnia dziewczynka zobaczyła podczas jednego z festynów garncarza pracującego przy drewnianym kole.

– Pamiętam to do dziś. Był to pan z Białorusi. Toczył na takim tradycyjnym kole kopanym nogą. Patrzyłam jak zahipnotyzowana. Nie miałam odwagi podejść i dotknąć gliny, ale wiedziałam, że kiedyś chciałabym umieć robić to samo – wspomina z iskrą w oku Joanna.

To wspomnienie zostało z nią na lata. Później było liceum, studia, kolejne prace. Marzenie gdzieś przycichło. Ale nigdy nie zniknęło.

– Był taki moment po studiach, kiedy nie miałam pracy i wymyśliłam sobie, że otworzę pracownię garncarską. Nie zastanawiałam się nawet, gdzie nauczę się garncarstwa. Wiedziałam tylko, że chcę to robić. Chodziłam do urzędu pracy pytać o dotacje. Dopiero później zorientowałam się, że sam zapał nie wystarczy, cała papierologia mnie pokonała – wspomina.

Jednak marzenia mają to do siebie, że nie lubią być odkładane zbyt długo. Kilka lat później do Sejn przyjechała ceramiczka z Rosji. Prowadziła warsztaty. Joanna na nie się zapisała.

– I nagle wszystko wróciło. To wspomnienie z dzieciństwa. Ta fascynacja gliną. Poczułam, że właśnie tego mi brakowało. Warsztaty nie były jednak łatwe, bo prowadząca była bardzo wymagająca, a wręcz surowa. Krzyczała na nas. Cokolwiek zrobiłyśmy, wszystko było źle. Wracałam do domu i myślałam: przecież to nie tak powinno wyglądać. Jeśli kiedyś będę uczyć ludzi, chcę, żeby nikt się nie bał. Żeby ceramika kojarzyła się z radością, spokojem i cierpliwością – wyznaje.

To był moment przełomowy. Joanna zrozumiała, że chce nie tylko tworzyć, ale również uczyć innych.

Kiedy się poznaliśmy, Przemek powiedział, że pierwszą rzeczą, jaką razem zrobimy, będzie pracownia ceramiczna. Nie dom, nie ogród, a pracownia

JOANNA JAKUBOWSKA – POHL

Los znowu jej pomógł. Rozpoczęła pracę w Gminnym Ośrodku Kultury Gminy Suwałki i przy pierwszej możliwej okazji wyjechała do Łucznicy koło Otwocka – miejsca, które od dziesięcioleci jest jednym z najważniejszych ośrodków kształcenia rzemieślników w Polsce.

– Zapisałam się na pierwszy stopień ceramiki. Kiedy wróciłam, już wiedziałam, że to jest dokładnie to, co chcę robić w życiu. Powiedziałam dyrektorce, że musimy w naszym Gminnym Ośrodku Kultury zrobić pracownię ceramiczną.

Brzmiało odważnie, ale Joanna tym razem nie poprzestała na marzeniach. Napisała projekt, zdobyła dotacje i zaczęła działać. W międzyczasie ukończyła kolejne stopnie kursu ceramiki.

– Dostałam pomieszczenie w piwnicy. Niewielkie. Trzeba było wszystko zrobić od początku. Sama zdzierałam stare tynki. Sama urządzałam pracownię. Kupiliśmy piec... – urywa i się uśmiecha. – Firma przysłała mi nie ten piec, który zamówiłam. Strażacy z OSP pomogli go wnieść i stwierdziłam, że jest jeszcze lepszy niż myślałam. Stał u mnie prawie miesiąc. Kiedy przyjechał pan odpowiedzialny za jego podłączenie, powiedział: To nie jest pani piec.

Joanna już wtedy znała Przemysława. Spotkali się tuż po jego przeprowadzce z Wielkopolski na Suwalszczyznę. Przemek kupił siedlisko w Maćkowej Rudzie, mimo że początkowo nie zakładał, że zostanie tu na stałe.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

Któregoś razu przyszedł do niej, a ona opowiedziała mu historię z piecem. – Powiedziałam jeszcze, że właściwy piec, ten mój, jest gdzieś pod Lesznem. A wiedziałam, że przecież stamtąd pochodzi Przemek. On spojrzał na etykietę z nazwiskiem i mówi: Przecież to przyjaciółka mojej siostry. Nie mogliśmy uwierzyć – wspomina Joanna.

Śmieją się, że chyba właśnie wtedy los postanowił połączyć ich nie tylko miłością, ale i wspólną, garncarską pasją.



FOT. ANNA GRYZA-ANESZKO



FOT. ANNA GRYZA-ANESZKO

– Glina uczy pokory i cierpliwości. To materiał, który pokazuje, że nie wszystko w życiu da się zrobić szybciej – przyznają Joanna i Przemek

Pieca nie stawia się byle gdzie

– Kiedy się poznaliśmy, Przemek powiedział, że jeśli będziemy razem mieszkać w Maćkowej Rudzie, to pierwszą rzeczą, jaką zrobimy, będzie pracownia ceramiczna. Nie dom, nie ogród, a pracownia – wspomina Joanna zerkając z czułością na męża (ślub wzięli we wrześniu ubiegłego roku).

To była obietnica. Przemysław dotrzymał słowa.

– Przemek wykonał tutaj ogrom pracy. Naprawdę ogrom. To nie było tylko urządzenie wnętrza. Trzeba było przebudować budynek, przygotować odpowiednią podłogę pod ciężki piec, doprowadzić instalacje, zrobić wentylację. Każdy, kto prowadzi pracownię ceramiczną, wie, że pieca nie stawia się byle gdzie – uśmiecha się kobieta.

Szybko okazało się jednak, że glina wciągnęła również Przemysława.

– Przychodził do pracowni i mówił, że mu się to wszystko bardzo podoba. Potem usiadł przy kole garncarskim. Pokazałam mu tylko podstawy. Naprawdę tylko kilka wskazówek... – wspomina Joanna.

To, co wydarzyło się później, zaskoczyło nawet ją.

– Ja na początku miałam całe dłonie poobdzierane od gliny z szamotem. Walczyłam z każdym centymetrem naczynia. A on usiadł... i zaczął toczyć, jakby robił to od lat – mówi z niedowierzaniem.

Przemysław tylko się uśmiecha.

– Może to przez mój zawód. Jestem protetykiem, a protetyka wymaga precyzji, wyobraźni przestrzennej i sprawnych rąk. Bez tego trudno wykonywać tę pracę – kwituje.

Ale sam przyznaje, że zamiłowanie do rzemiosła pojawiło się znacznie wcześniej.

– Mojej mamy brat jest malarzem i od dziecka obserwowałem, jak tworzy. Mój ojciec z kolei kolekcjonował starocie – w domu pełno było starych przedmiotów: lamp naftowych, ceramiki. To wszystko gdzieś we mnie zostało.

Był też moment, kiedy chciał zdawać do szkoły plastycznej.

– Ale rodzice przekonali mnie, żebym wybrał bardziej konkretny zawód. Tata jest stomatologiem, więc przez to ja zostałem protetykiem. Ale ta potrzeba tworzenia nigdy nie zniknęła – przyznaje Przemek.

Później skończył jeszcze kulturoznawstwo. Jeździł na warsztaty tradycyjnego budowania pieców. Poznawał dawne technologie.

– Na jednym z takich wyjazdów zobaczyłem ogromną pracownię ceramiczną. Pomyślałem wtedy: To jest fantastyczne! Nie przypuszczałem jeszcze, że kilka lat później sam będę miał własną...

Dziś Joanna śmieje się, że los zrobił jej najpiękniejszy prezent.

– Przemek obiecał mi pracownię, a okazało się, że zrobił ją nie dla mnie, tylko dla nas. To jest wspaniałe, że możemy pracować razem – wyznaje kobieta. – Przemek jest bardzo skromny, a prawda jest taka, że ma ogromny talent. Świetnie toczy na kole, pięknie maluje. To on odtwarza większość dawnych form naczyń z naszego regionu. Skończył dwa stopnie kursu, miał jechać także na trzeci, ale to było tuż przed naszym ślubem i już zabrakło na to czasu.

W swojej pracowni mają naczynia z dawnych lat

Obojgu zależy, by jak najwięcej dowiedzieć się o historii i tradycji garncarstwa z regionu Suwalszczyzny. Stąd też ciągle jeżdżą do różnych garncarzy, by z nimi porozmawiać, poznać ich warsztat. W swojej pracowni mają także naczynia z dawnych lat. Przemysław szczególnie fascynuje się historią garncarzy z oddalonego o kilka kilometrów Studzianego Lasu – niewielkiej miejscowości, która jeszcze kilkadziesiąt lat temu była jednym z najważniejszych ośrodków garncarskich w tej części kraju.

– To było niezwykłe miejsce. Jeszcze po wojnie pracowano tam metodami, które właściwie niewiele zmieniły się od średniowiecza. Ludzie sami przygotowywali glinę, dodawali do niej rozdrobniony kamień albo piasek, a naczynia wypalali w piecach chlebowych – opowiada Przemek.

W pobliskim Studzianym Lesie ludzie sami przygotowywali glinę, dodawali do niej rozdrobniony kamień albo piasek, a naczynia wypalali w piecach chlebowych

PRZEMYSŁAW POHL

Joanna dopowiada szczegóły:

– Kamienie często pochodziły z bani staroobrzędowców. Kiedy od wysokiej temperatury pękały i nie nadawały się już do sauny, garncarze rozcierali je na proszek i dodawali do gliny. Dzięki temu naczynia były mocniejsze. Dzisiaj używa się szamotu, ale kiedyś radzono sobie w zupełnie naturalny sposób.

Joanna i Przemek znają dziesiątki takich historii. I każda prowadzi do jednego wniosku – dawne garncarstwo Suwalszczyzny niemal zniknęło. Dlatego większość ich naczyń nawiązuje do dawnych form wytwarzanych w regionie.

– Nasze kubki, dzbany czy misy mają kształty inspirowane historycznymi naczyniami. Czasem pozwalamy sobie na bardziej współczesne szkliwa albo dekoracje, ale sama forma pozostaje wierna temu, co kiedyś powstawało na Suwalszczyźnie – wskazują.

Przemysław ,malując kolejne naczynie, opowiada: – Miejscowe wzornictwo było bardzo skromne. Liczyła się przede wszystkim funkcjonalność. Najczęściej pojawiał się prosty pasek albo delikatnie wydrapany zygzak. Piękno tkwiło nie w bogatym zdobieniu, ale w samej formie naczynia.

Joanna zdejmuje z półek i pokazuje kolejne małe dzieła sztuki. Wydają się takie kruche, a w rzeczywistości są niezwykle trwałe i odporne na różne czynniki typu wilgoć czy wysoka temperatura. Nadają się do zmywania w zmywarce czy użycia w piekarniku.

– Zależy nam, żeby ludzie naprawdę z nich korzystali. Dawniej gliniane garnki były w każdej kuchni. Chcemy, żeby znowu wróciły na stoły, a nie stały tylko jako ozdoba – mówią małżonkowie.

Wskazują, że współcześnie praca przy tworzeniu ceramiki jest znacznie prostsza. Glina przyjeżdża w gotowych workach, jest oczyszczona, wystarczy otworzyć opakowanie.

– Ale my chcieliśmy zrozumieć cały ten proces tworzenia, począwszy od wydobywania gliny. Nie chcieliśmy skupiać się tylko na lepieniu naczyń. Dlatego zaczęliśmy jeździć do ludzi, którzy jeszcze pamiętają, jak robiło się to dawniej. Można przeczytać o tym w książkach, obejrzeć filmy, skończyć kursy, ale nic nie zastąpi spotkania z garncarzem, który od dziecka patrzył, jak pracuje jego ojciec i dziadek – mówi Joanna.

Jednym z takich miejsc, w których garncarstwo „uprawiane" jest od wieków, jest Czarna Wieś Kościelna (w pow. białostockim). Drugim ważnym miejscem jest Kamionek Wielki (pow. elbląski).

– W tych miejscowościach mieszkają rodziny, w których to rzemiosło przechodzi z pokolenia na pokolenie. Oni mają to po prostu w rękach. To jest coś niesamowitego móc obserwować, z jaką łatwością pracują – mówi z podziwem Przemek..

Zgodnie dodają, że wiele nauczyli się dzięki ceramice.: – Glina uczy pokory. To materiał, który pokazuje, że nie wszystko w życiu da się zrobić szybciej. Trzeba poczekać, aż wyschnie. Trzeba dać jej czas przed wypałem. A później jeszcze przeprowadzić cały proces bardzo spokojnie. Ona naprawdę uczy cierpliwości.

To właśnie dlatego coraz częściej trafiają do nich ludzie, którzy nigdy wcześniej nie mieli nic wspólnego z ceramiką. Przyjeżdżają z Suwałk, Augustowa, Sejn, ale też z drugiego końca Polski (w ich warsztatach regularnie bierze udział była prezydentowa Anna Komorowska). Niektórzy chcą nauczyć się toczyć na kole, inni – po prostu odpocząć.

– Słyszymy często: Ja nic nie umiem. Nie mam talentu. To nie dla mnie. A później okazuje się, że po kilku godzinach ktoś wychodzi z własnym kubkiem i jest z niego bardziej dumny niż z wielu rzeczy, które wcześniej w życiu zrobił.

Garncarskie warsztaty nie przypominają szkolnej lekcji. Nie ma ocen. Nie ma pośpiechu. Joanna dobrze wie, jak ważne jest takie podejście. Na co dzień pracuje jako pedagog specjalny. Towarzyszy dzieciom z autyzmem, niepełnosprawnością intelektualną i afazją. W klasie również sięga po glinę.

– Bardzo często wykorzystuję ceramikę podczas zajęć. Widzę, jak dzieci się wyciszają. Jak zaczynają się otwierać. Jak nabierają wiary w siebie. To jest niesamowite – opowiada.

Dla niej glina nie jest tylko materiałem. Jest narzędziem budowania relacji.

– Dziecko nie musi nic mówić. Wystarczy, że zacznie ugniatać glinę. Bardzo często właśnie wtedy widać najwięcej emocji. Podobnie jest z dorosłymi. Ludzie przyjeżdżają do nas zmęczeni i przebodźcowani, siadają przy kole, a po godzinie są zupełnie inni. Jakby ktoś zdjął z nich ciężki plecak – uśmiecha się Asia.

Jednak jej i jej męża marzenia sięgają znacznie dalej niż ściany obecnej pracowni. Przemysław mówi o nich z ogromnym spokojem. Jakby wiedział, że wszystko przyjdzie we właściwym czasie: – Chcielibyśmy stworzyć miejsce, w którym będzie można zobaczyć cały proces powstawania ceramiki – od gliny wydobytej z ziemi aż po gotowy garnek wyjęty z pieca.

Marzy im się stworzenie niewielkiego ośrodka tradycyjnego garncarstwa. Właśnie tu, w Maćkowej Rudzie. Takiego, w którym historia nie stoi za muzealną szybą, a jest żywa i można jej dotknąć.

– Chcielibyśmy mieć własne pryzmy gliny, miejsce do jej sezonowania, szlamowania, przygotowywania. Żeby ludzie zobaczyli, ile pracy kryje się w jednym kubku. Wiemy, że się da. To praca na lata, ale wierzymy, że kiedyś się uda – wyznaje Przemek.

A Joanna się uśmiecha: – Wie pani, czasami ktoś pyta, dlaczego tyle czasu poświęcamy na odtwarzanie czegoś, czego już prawie nie ma. A ja wtedy odpowiadam, że właśnie dlatego. Bo jeśli my tego nie zrobimy, to za kilka lat nie będzie już nawet kogo zapytać, jak wyglądało garncarstwo na Suwalszczyźnie.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

SENTYMENTY

Przebieralnie dla pań i panów, czyli dawne wczasowanie...

Na kuracje „do wód” wyjeżdżała polska arystokracja, popularnością cieszyło się również polskie morze, a zwykli mieszkańcy musieli zadowalać się urokami plażowania na brzegach pobliskich rzek

Arkadiusz Bednarczyk

W okresie międzywojennym żurnale kobiece tak pisały o urokach plażowania: „ Plaża jest królestwem ludzi wesołych, którzy na złocistym dywanie jej piasków próbują upodobnić się do bogów starożytnej Hellady. Dyktatorem plaży jest Słońce, a blady człowiek na twarzy jest czymś nieprzyzwoitem. Żółtodziób, który przyjechał dopiero z miasta i pokazuje na plaży swoją bieluchną skórę, to jest po prostu „shocking”.

14 dni aresztu za kąpiel nago w Wisłoku

Nie wszystkich jednak stać było na kosztowne wyprawy nad morze. W sierpniu 1904 roku mieszkańcy Przemyśla skarżyli się na pewnego mieszkańca zamieszkującego na ulicy Wodnej, na piętrze kamienicy, który „kropi siebie i kwiaty wodą, przy czym oblewa wodą idących pod balkonem przechodniów”.

W lipcu 1929 roku w Jarosławiu upały sięgały ponoć prawie pięćdziesięciu stopni. Setki mieszkańców - jak pisały gazety - szukały ochłody nad Sanem, który „od mostu aż po Muninę przedstawiał jedno mrowisko ludzi szukających upragnionego ukojenia w nurtach zbawiennego Sanu”.

Rzeszów bywał w okresie urlopowym miejscem wakacyjnych ekscesów. W latach osiemdziesiątych XIX wieku rzeszowska Rada Miasta walczyła z niepożądaną nagością plażowiczów, stawiając specjalne przebieralnie dla pań i panów. Wyznaczano również części plaży: osobne dla mężczyzn i dla kobiet.

Bywało jednak i tak, że żołnierze i panowie preferowali kąpiele bez odzienia, a zatem rajcy miejscy uchwalali specjalne kary czternastu dni aresztu dla tych, którzy mimo wszystko pokazywać się będą nago.

Poza opalaniem się na plaży, poza kąpielami w morzu, zwykle flirtowano .

„Aby flirtować należy znaleźć odpowiedni obiekt; są miejscowości w których lepiej flirtuje się niż opala. Flirt nad morzem do niczego nie zobowiązuje, a po przyjeździe do miasta nie poznajemy naszych partnerów znad morza, gdyż widywaliśmy ich wyłącznie w kostiumach kąpielowych” - pisała ówczesna prasa dla pań. Nie można było pominąć milczeniem faktu, że plaża pozwalała na „rozwinięcie czarów urody niedostępnych oczom profanów w mieście”.

Poradniki kobiece radziły plażowiczkom, aby właściwie dobrały do typu urody kostium plażowy, efektowny płaszcz „pyjama plażowa”, modne szorty oraz piękne sandałki.

Radzono, aby „zachować dyskretną powściągliwość, a równocześnie zachować pełne poczucie swobody - to najlepszy wskaźnik dobrego smaku i prawdziwej dystynkcji, o którą dbać winny wszystkie panie, jeśli chcą mieć o sobie wysokie mniemanie i pragną wywierać czar na swoje otoczenie”.

Elity nad morzem - hrabina zadzierała nosa

Kroniki towarzyskie międzywojennej prasy odnotowywały skrupulatnie, kto ze znanych pojawiał się na nadmorskich plażach. Gazety pisały: Wśród wybitnych artystów polskiego teatru i filmu, którzy w 1938 roku odwiedzili nasze Wybrzeże, znalazła się m.in. Helena Grossówna, polska aktorka filmowa i teatralna. Na plaży w Juracie pojawił się w tym czasie Pierwszy Lord Admiralicji Duff Cooper, który przybył na jachcie „Entchantress”. Towarzyszył mu minister spraw zagranicznych Józef Beck oraz hrabina Helena Łubieńska.

Nad dzisiejszym polskim morzem bywała m.in. Marlenna Dietrich np. w Międzyzdrojach u pani de Poncet (córki ambasadora francuskiego w Niemczech) i w Świnoujściu. We wspomnianej Juracie przebywali także Eugeniusz Bodo czy Wojciech Kossak.

Polscy arystokraci wyjeżdżali nie tylko nad morze. Gościli w znanych uzdrowiskach np. na Słowacji ale i np. w Polsce - w Iwoniczu-Zdroju w Galicji, który założył polski arystokrata hrabia Karol Załuski. Kazimierz Chłędowski, kronikarz dziewiętnastowiecznej Galicji, opowiadał, iż jego ojciec w lecie przenosił się do iwonickich „Łazienek” na dwa miesiące, gdyż potrzebował kąpieli jodowych. Uzdrowisko słynęło nie tylko z walorów zdrowotnych, ale również z bali i zabaw.

„Matki z córkami zjeżdżały z dalekich okolic, aby...szukać mężów, a młodzież traciła niemało grosza”. Już w soboty zaczynał się w sezonie ruch z powodu niedzielnych iwonickich balów. Zjeżdżała hrabina Załuska „ale tak zadzierała nosa, że na tym nosie można było kapelusz zawiesić”.

Przyjeżdżały tu rodziny Gorajskich, Mierów, Grotowskich, Bobrowskich; słynna z niezwykłej urody panna Helena Gniewoszówna i wiele „pomniejszych” sanockich, jasielskich czy rzeszowskich rodzin.

Sezon uzdrowiskowy rozpoczynał się zwykle około 20 maja i trwał do końca września. „Goście kąpielowi” (jak pisano w prasie) w XIX wieku narzekali na „drogość pokoi”. Łazienki pierwszej klasy były również bardzo drogie, dostarczając jednak wody na pięćdziesiąt tysięcy kąpieli w ciągu jednego sezonu.

W słowackich Bardejowskich Kupelach kuracji zażywali car Rosji Aleksander I, żona Napoleona Bonapartego - Maria Luiza; małżonka Franciszka Józefa I, cesarzowa Austrii Elżbieta, nazywana także Sissi. Jej wizytę przypomina rzeźba w parku uzdrowiska przed domem leczniczym Astoria.

Przedwojenna arystokracja wraz z rodzinami wyjeżdżała np. na Riwierę Francuską.

Modne były polowania w Afryce. Były to imprezy jednak bardzo drogie... Aby pokryć koszta afrykańskiej bajkowej wyprawy Alfred III Potocki - ordynat łańcucki pożyczył 160 000 dolarów w Towarzystwie Ubezpieczeniowym w Wenecji. Pożyczka została zabezpieczona hipoteką na lwowskim pałacu Ordynata, który, aż do II wojny światowej nie potrafił jej spłacić...

Magnat znany był z zamiłowania do luksusowego stylu życia i podróży po Europie. W okresie międzywojennym chętnie odwiedzał słynne niemieckie uzdrowisko Baden-Baden. Zatrzymywał się w luksusowym hotelu „Stephanie”.©℗



FOT. ARCHIWUM/DOMENA PUBLICZNA (2)

Na plaży – fotografia z XIX wieku



Uzdrowisko Iwonicz (pocztówka z początku XX w.)

eprasa.pl 3daaa9cb0a

POD PARAGRAFEM

• **Strzała z łuku trafia bezbłędnie...** Na początek sierpnia wydawnictwo Mova planuje premierę „Tego, co ukryliśmy" Adele Parks. Kylie Gillingham znika bez śladu i szybko okazuje się, że zostawiła dwóch mężów, którzy nie mieli pojęcia o swoim istnieniu.

POLITYKA I MIŁOŚĆ

Trójkąt erotyczno-kryminalny na szczytach władzy III Rzeszy

Sylwia Arlak, BP

Magdzie Quandt marzyła się rola pierwszej damy Niemiec. Droga do niej wiodła przez małżeństwo z Goebbelsem. Ale nie była obojętna także Adolfowi Hitlerowi.

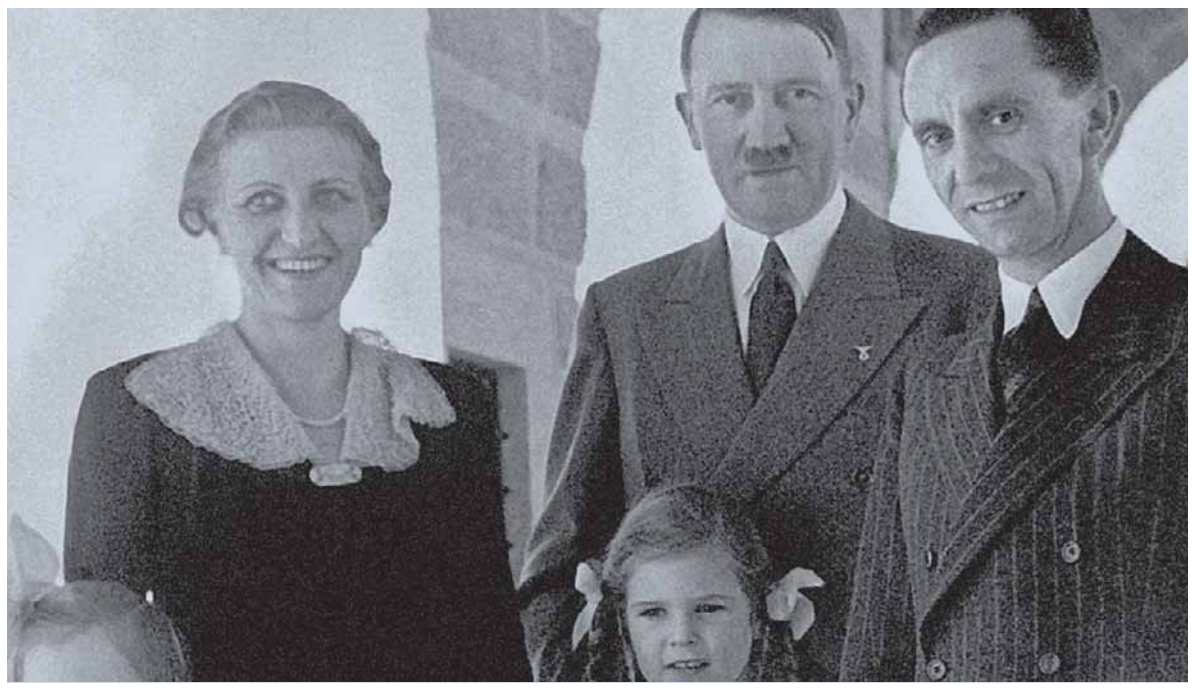
Magda Quandt po raz pierwszy spotkała Adolfa Hitlera latem 1927 r. w posiadłości jej ówczesnego męża w Meklemburgii. Piękna pani Quandt – smukła, ze złotymi blond włosami i niebieskimi oczami – przyciągała spojrzenia wszystkich. Hitler i towarzyszący mu Joseph Goebbels wydawali się nią oczarowani. Podziwiali jej niezwykłą jak na tak młody wiek klasę.

O ile Hitler i Goebbels z tamtego spotkania zapamiętali niewiele, to dla Magdy było przełomem. Podobno już wtedy zamarzyła jej się rola pierwszej damy Niemiec, do której wynieść ją miała znajomość z Goebbelsem i Hitlerem. Pierwszego zresztą długo nie zauważała, interesował ją Führer. Robiła wszystko, by choć na chwilę znaleźć się blisko niego, nie zrażało jej to, że on jej nie zauważał.

Od pierwszego...

Punktem kulminacyjnym w jej życiu był jeden z wieców wyborczych NSDAP w 1930 r., podczas którego przemawiał jej przyszły mąż. 15 tys. ludzi i ona – niepewnie oczekująca na spektakl. Niski, źle ubrany mężczyzna nie zrobił na niej piorunującego wrażenia. Dysponował jednak potężnym głosem, który ją zafascynował. Nieważne, co mówił, ważne jak – pomyślała. Słuchała go jak w transie. Już następnego dnia zapisała się do NSDAP, a zaraz potem zatrudniła się jako pomoc biurowa w kwaterze głównej NSDAP.

Na początku listopada 1930 r. nadszedł w końcu ten dzień. Magda, wychodząc do pracy, ujrzała na schodach utykającego, niskiego, szczupłego mężczyznę. Ponownie zwróciła uwagę na jego podniszczony strój. Kiedy jednak ten popatrzył jej w oczy, miała wrażenie, że zaraz spłonie. Goebbelsa i Magdę połączyła miłość od pierwszego wejrzenia.



Znajomość Magdy Quandt i Josepha Goebbelsa była miłością od pierwszego wejrzenia. Świadkiem na ich ślubie był Hitler

„Blond słodycz"

Następnego dnia po pamiętnym spotkaniu Goebbels wezwał młodą kobietę do siebie. Oznajmił, że w trybie natychmiastowym potrzebuje osoby godnej zaufania do zorganizowania tajnego archiwum. I wciąż pożerał ją wzrokiem. Zdarzenie to opisał w dziennikach pod datą 7 listopada 1930 r. „Piękna kobieta, nazwiskiem Quandt, tworzy dla mnie prywatne archiwum" – odnotował.

Początek ich związku miał miejsce 15 lutego 1931 r. Wtedy Goebbels zanotował w dzienniku: „Wieczorem przyszła Magda Quandt i została bardzo długo. Rozkwita w urzekającej blond słodyczy. Jaka jesteś, moja królowo? Piękna, piękna kobieta! Zapewne będę ją bardzo kochać. Chodzę teraz jak we śnie. Tak przepełniony szczęściem. To wspaniałe, kochać piękną kobietę i być przez nią kochanym...". Nie minęło wiele czasu, a para postanowiła się pobrać. Rodzina i bliscy Magdy sprzeciwiali się tej decyzji. Na przyszłej pannie młodej nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia. Goebbels jednak jeszcze przed ślubem zawarł z nią porozumienie, z którego wynikało, że mężczyzna nie pozostanie wierny małżonce.

Mój dzielny towarzysz

W umowie deklarował, że Magda jest królową jego życia i chce mieć z nią gromadkę dzieci, ale nie odmówi sobie przygód pozamałżeńskich, o które nie może mieć do niego pretensji. Quandt to zaakceptowała: „Do genialnego człowieka, żyjącego trzy razy intensywniej niż inni, nie może być przykładana zwykła mieszczańska moralność".

Uroczystość zaślubin odbyła się 19 grudnia 1931 r. Świadkiem na ślubie został sam Hitler. Peter Longerich przekonuje, że również on był zakochany w Magdzie. Po męskiej rozmowie z Goebbelsem zrezygnował jednak z wyścigu o jej rękę. Na ślubie miał nawet uronić niejedną łzę, co pan młody wziął jednak za przejaw wzruszenia. Wcześniej pisał: „Kocha Magdę. Ale pozwala mi na szczęście. Mój dzielny towarzysz i Führer".

Prawdą jest to, że Hitler wyjątkowo cenił Magdę. Dobrze czuł się w jej towarzystwie, w pewnym okresie swojego życia – z obawy przed planowanym zamachem – jadł przygotowane jedynie przez nią posiłki. To ona uczyła go dobrych manier i odpowiedniego zachowania przy stole.

W późniejszych latach często odwiedzał młode małżeństwo Goebbelsów. Bywał u nich tak często, że – jak pisze Longerich – stał się niemalże członkiem trzyosobowej rodziny. Goebbelsowie nadali też swym sześciorgu dzieciom imiona na literę H.

Interweniuje Hitler

Pierwsze lata pożycia małżeńskiego Goebbelsów były jednak wyjątkowo udane. Magda zwracała się do Josepha „Aniołku", choć wszyscy wokoło dostrzegali raczej diaboliczne cechy jej męża. Z upływem czasu minister propagandy miał go jednak dla swojej żony coraz mniej. Nie przeszkadzały jej nawet liczne kochanki, od których ten niemiecki Casanova wprost nie potrafił się opędzić. Wraz z wybuchem wojny i pojawieniem się nowych obowiązków tempo życia seksualnego Goebbelsa malało. Wszystko zmieniło się jednak, kiedy ten poznał młodziutką czeską aktorkę Lidę Baarovą. Tym razem to nie był zwykły romans. Magda Goebbels musiała stawić czoło faktom. Jej mąż się zakochał. Z powodu Baarovej zamierzał rozwieść się z żoną, a nawet... zrezygnować z polityki.

Ostatnie dni życia

W tym okresie dochodziło do gwałtownych kłótni. Goebbels żalił się w swoich dziennikach, że nie może dłużej wytrzymać napiętej atmosfery. Magda, choć wybaczyła mężowi ponad 40 romansów, tym razem postanowiła interweniować u samego wodza. Kobieta, która miała wówczas 36 lat i właśnie urodziła szóste dziecko, znalazła zrozumienie u Hitlera. Ten kategorycznie nakazał zerwanie kontaktów pomiędzy kochankami. Ich idealne małżeństwo, wzór dla każdej niemieckiej rodziny, nie mógł być przecież splugawiony romansem i skandalem. Goebbels nigdy więcej nie spotkał się z aktorką, która musiała wrócić do Pragi.

Mimo że stosunki małżonków długo pozostawały napięte, zimą 1944 r. jeszcze raz zbliżyli się do siebie. Oboje wiedzieli już, że upadek III Rzeszy to kwestia czasu. W schronie przeciwlotniczym całymi godzinami potrafili trzymać się za rękę. Poczucie, że mają siebie, pozwalało im jeszcze wymknąć się całkowitemu przygnębieniu. Kiedy 7 kwietnia 1945 r. Magda została odznaczona Złotą Odznaką Partyjną Hitlera, wiedziała już, że oto nadszedł koniec. Los całej trójki znalazł swój tragiczny finał w bunkrze wodza, pod zbombardowaną Kancelarią Rzeszy. Tam rodzina Goebbelsów przeniosła się u schyłku wojny i spędziła ostatnie dni życia.

Razem z dziećmi

Choć Magda próbowała odwieść Hitlera od samobójstwa, za zamkniętymi drzwiami rozgryzł on kapsułkę z cyjankiem i strzelił sobie w usta. W tym samym czasie z życiem pożegnała się Ewa Braun. Goebbels oznajmił, że nie jest już dłużej zainteresowany życiem. Również jego żona – wstrząśnięta śmiercią Hitlera – była zdania, że jej życie się skończyło.

1 maja ok. godz. 4-5 nad ranem Magda podała morfinę szóstce swoich dzieci. Nie pomogły usilne zapewnienia sekretarki Führera i służącej Ewy Liesl Ostertag wyrażające gotowość do zaopiekowania się potomstwem Goebbelsów. Cała rodzina miała podzielić los Hitlera. Dwunastoletnia Helga, dziewięcioletni Helmut, ośmioletnia Holde, siedmioletnia Hilda, sześcioletnia Hedda i pięcioletnia Heide zginęli z rąk matki.

Albert Speer twierdził, że kobieta nie chciała takiego losu dla swoich pociech. Ugięła się jednak pod wolą męża. Około godz. 20.30 małżonkowie dołączyli do swych dzieci.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

PIŁKA NOŻNA

Organizacyjnie i finansowo nasze kluby są gotowe

O prognozy na rozpoczęty sezon – dotyczące rozstrzygnięć na krajowych boiskach i w pucharach – zapytaliśmy Marcina Kusia, który w ekstraklasie grał w Polonii Warszawa, Lechu Poznań, Koronie Kielce, Cracovii i Ruchu Chorzów

Jaromir Kruk

Marcin Kuś, 7-krotny reprezentant Polski, występował również w klubach z Anglii, Rosji i Turcji. Uważa, że ekstraklasa się rozwija i liczy na ciekawy sezon 2026/27.

Jakie masz oczekiwania względem sezonu 2026/27?

Życzyłbym nie tylko sobie, żeby było więcej jakości, mniej przypadku, a kilka zespołów walczyło o tytuł mistrza Polski. W klubach dokonano wielu ciekawych transferów i wierzę, że to się przełoży na boisko, a kibice będą świadkami mnóstwa ciekawych widowisk. Dobrym prognostykiem był wyjazdowy mecz Lecha z Aarhus GF. Mistrz Polski wykazał się dojrzałością i skutecznością. Wielkie wrażenie zrobił na mnie stoper z Ghany Terry Yegbe, który strzelił cudownego gola i świetnie wyglądał w defensywie. Na początku drogi w Europie Lech wygląda świetnie.

Na naszą ekstraklasę często narzeka się, że jest słaba, ale z drugiej strony mówi się, że nie należy do łatwych.

W ostatnich dwóch sezonach od polskiej ligi odbijali się piłkarze z ciekawym CV. Ekstraklasę cechuje niemal perfekcyjne przygotowanie fizyczne, ale kibice przychodzą na stadiony, by oglądać piękne gole, efektowne dryblingi, chcą dostawać show. Na pewno nasza ligowa piłka systematycznie się rozwija. Jeśli chodzi o jej opakowanie, medialność, telewizję, to osiągnęła najwyższy poziom; sportowo też będzie coraz lepiej i to musi znaleźć odzwierciedlenie w europejskich pucharach.



FOT. KARINA TROJOK

Kuś: Aby przejść Fenerbahce, trzeba zagrać mecz życia, ale uważam, że Górnik jest w stanie tego dokonać

Jesteśmy już gotowi na sukces w Lidze Konferencji, czyli powiedzmy półfinał?

To nie takie proste, ale organizacyjnie i finansowo nasze kluby są gotowe. Często teoretycznie słabsze zespoły zachodzą daleko, dużo też zależy od losowań, trochę nam niekiedy brakuje szczęścia. W poprzednim sezonie Jagiellonia była o krok od wyeliminowania Fiorentiny, doprowadziła we Włoszech do dogrywki, Lech mógł wyrzucić Szachtara Donieck. Detale zdecydowały, że nasze ekipy odpadły, ale cały czas widzimy progres. Przedstawiciele ekstraklasy już się nikogo w Europie nie boją, a Stary Kontynent docenia polską piłkę klubową.

Górnik Zabrze jest w stanie przejść Fenerbahce w eliminacjach Ligi Mistrzów?

W pierwszym meczu Fenerbahce prowadziło grę, miało kilka okazji, była poprzeczka, ale gola zdobyło po rzucie wolnym dość szczęśliwie. Nie znam się na sztuce bramkarskiej, chyba jednak można się było lepiej zachować w tej sytuacji. Oczywiście, turecki potentat to wielka jakość, sprowadza zawodników za ogromne środki, ale tak jak w przypadku reprezentacji Turcji są problemy z utrzymaniem ciśnienia, bywa, że nie dojeżdżają mentalnie, kiedy są faworytami. Widzieliśmy to na mundialu, presja często ich gubi. Górnik musi z Fenerbahce zagrać odważnie, ale uważnie w tyłach, dobrze wejść w mecz, nie popełniać prostych błędów. Jak w Stambule Turkom pomogli kibice, w Zabrzu pomogą polskiej drużynie. Żeby przejść Fenerbahce, trzeba rozegrać mecz życia, ale uważam, że zespół Michala Gasparika jest w stanie tego dokonać. Goście z Turcji też będą pod wrażeniem dopingu w Zabrzu.

A co myślisz o GKS Katowice w perspektywie rewanżu z MSK Zilina?

GKS Katowice – nie wiem, z jakiego powodu – przeszedł w pierwszym meczu ze Słowakami na ustawienie z trójką obrońców i miał problemy z wyprowadzaniem piłki. To mogło mieć wpływ na wynik – szkoda porażki, tym bardziej że zespół Rafała Góraka prowadził. Po porażce w Żilinie ma wnioski do wyciągnięcia, na pewno będzie jakaś reakcja. Słowacki zespół jest ograny w pucharach, Gieksa długo czekała na powrót do nich i liczę na nią w rewanżu. Wsparcie kibiców też może odegrać dużą rolę, tak jak w Zabrzu będzie zapewne superatmosfera. Katowiczanie mają ciekawych zawodników i nie chcą się szybko pożegnać z eliminacjami Ligi Konferencji.

W tym sezonie w Europie nie gra Legia Warszawa, która zaczęła udanie ekstraklasę, wygrywając 1:0 z Pogonią. Możemy spodziewać się więcej zwycięstw legionistów pod wodzą Marka Papszuna?

Każdy wie, że Marek Papszun siłę swoich zespołów opiera na żelaznej defensywie. Tak samo jest w Legii, która nie ma w ofensywie jakości jak kiedyś, ale nadrabia solidnością w grze obronnej, dyscypliną. Widać efekty pracy trenera Papszuna. Jego drużynom zawsze ciężko jest strzelić gola, przekonała się o tym Pogoń w pierwszej kolejce tego sezonu. Myślę, że Legia będzie należeć do czołówki ekstraklasy.

Można liczyć na objawienie się nowych gwiazd w ekstraklasie 2026/27?

Zawsze liczę, że ktoś nowy nas zaskoczy. Nie tak dawno pojawił się Oskar Pietuszewski i już gra w FC Porto. Ekstraklasa potrzebuje jak najwięcej zdolnej młodzieży i takie nadzieje daje młodzieżówka Jerzego Brzęczka, która ma szanse na awans do Euro U-21 i odegranie tam znaczącej roli. Absencja kadry seniorów na mundialu też niekorzystnie odbiła się na naszej piłce nożnej, również ekstraklasie, lecz teraz przed nami nowe, kolejne wyzwania. Jeśli nasz futbol chce się liczyć, musimy mieć coraz silniejszą ligę, a to pomoże drużynie narodowej. Wszystko działa niczym naczynia połączone. Ja jestem optymistą i nastawiam się na udany sezon.

PIŁKA NOŻNA

Najświeższe transfery w PKO BP Ekstraklasie. Raków sprzedał kuzyna Haalanda

Jakub Jabłoński

W weekend ruszył nowy sezon PKO BP Ekstraklasy, ale kluby wciąż mogą się wzmacniać, a także zarabiać na największych gwiazdach, które ruszają w świat. Okienko transferowe zamknie się dopiero we wrześniu.

„Dokonaliśmy tego!" – napisał napastnik Manchesteru City Erling Haaland, komentując transfer o rok młodszego kuzyna z Rakowa Częstochowa do Sparty Praga. Jonatan Braut Brunes został w sobotę bohaterem rekordowego transferu w historii czeskiego klubu. Przenosiny do stolicy Czech doszły do skutku za sprawą wpłacenia aż 6 milionów euro. Dla Rakowa to druga najwyższa kwota sprzedaży w historii klubu (po transferze Ante Crnaca do Norwich).

Haaland nie ukrywał, że śledził polską ligę właśnie dla niego. Od czasu do czasu sprawdzał, jak radzi sobie Brunes, który w barwach Medalików rozegrał 81 spotkań i zdobył 41 bramek. W poprzednim sezonie Norweg otarł się o koronę króla strzelców ekstraklasy. Zakończył rozgrywki z 16 trafieniami, ale najskuteczniejszy okazał się Tomas Bobcek z Lechii Gdańsk, który strzelił cztery bramki więcej.

Brunesa zaprezentował nie byle kto w szeregach wicemistrza Czech – były znakomity piłkarz Tomas Rosicky, obecnie dyrektor sportowy Sparty Praga. Przed norweskim napastnikiem ogromne wyzwanie: zamiast eliminacji Ligi Konferencji z Vallettą, z którą w II rundzie mierzy się Raków, czeka go walka o Ligę Mistrzów. Los skojarzył Spartę z Lyonem w rundzie poprzedzającej fazę play-off.

Co jeszcze warto odnotować z polskiego rynku transferowego? Widzew Łódź w niedzielny poranek przeprowadził ciekawy ruch. Do ekstraklasy wrócił Giannis Papanikolaou. 27-letni grecki wszechstronny zawodnik (z równym powodzeniem może grać jako środkowy pomocnik i obrońca) przez cztery lata był filarem Rakowa, z którym zdobył dwa Puchary Polski oraz mistrzostwo kraju pod wodzą Marka Papszuna. Teraz ma pomóc drużynie Aleksandara Vukovicia w realizacji ambitnych celów.

A skoro mowa o obecnym klubie Papszuna... Legia Warszawa po nieskutecznym występie Milety Rajovicia rozgląda się za nowym napastnikiem. Na celowniku Wojskowych znalazł się Bohdan Wjunnyk z Lechii Gdańsk. Stołeczny klub miał złożyć ofertę, ale na przeszkodzie stanął właściciel gdańskiego zespołu Paulo Urfer, który blokuje transfer. Sam zawodnik potwierdził tę przymiarkę w rozmowie z mediami.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

PIŁKA NOŻNA

Jerzy Engel oczarowany mundialem za oceanem

Mundial w USA, Kanadzie i Meksyku zakończył się triumfem reprezentacji Hiszpanii, która po raz drugi w historii została mistrzem świata. Były trener polskiej kadry przyznał w wywiadzie, że wcale nie jest tym zaskoczony

Zbigniew Czyż

O zakończonym w USA, Kanadzie i Meksyku mundialu rozmawiamy z Jerzym Engelem, selekcjonerem reprezentacji Polski w latach 2000-2002.



FOT. EAST NEWS

Na stadionach w USA, Kanadzie i Meksyku mistrzostwa świata zobaczyło prawie siedem milionów osób

Mistrzostwa świata za oceanem zostaną na długo w Pana pamięci?

Turniej był fantastyczny i oglądało się go z zapartym tchem. Przed mundialem byłem jednym z tych, którzy byli przeciwni rozszerzeniu formuły mistrzostw. Wydawało mi się, że to obniży ich rangę, tymczasem już w trakcie trwania mundialu stałem się wielkim fanem tej formuły.

Dlaczego?

Gdy zobaczyłem, jak prezentują się reprezentacje dotychczas mało znane, jak Curacao, Wyspy Zielonego Przylądka czy Kongo, to nagle okazało się, że one wszystkie dobrze grają w piłkę. I potem, nawet chyba wbrew sobie, zacząłem kibicować słabszym zespołom.

Mundial na pewno nie zawiódł, jeśli chodzi o frekwencję na stadionach, które na każdym meczu były wypełnione do ostatniego miejsca.

Bardzo podobała mi się atmosfera na trybunach, zabawa kibiców i te bajkowe niemal stadiony, których do tej pory na mundialu nie oglądaliśmy. To wszystko razem dało fantastyczny obraz turnieju.

W finale Hiszpania pokonała Argentynę 1:0. To był najgorszy finał mundialu w XXI wieku?

To, do czego bym się przyczepił, to że w finale Argentyna zagrała może zbyt ostro, momentami brutalnie. To był mecz dla koneserów, a kto chciał zobaczyć futbol na tak, mógł sobie zobaczyć mecz o trzecie miejsce między Anglią i Francją, gdzie padło dziesięć bramek.

W czym tkwi siła Hiszpanii?

Piłkarze tej reprezentacji od najmłodszych lat uczeni są wygrywania, dominacji na boisku i właśnie dlatego potem tak trudno się z nimi walczy. Są uczeni spójnego sposobu gry i ustawienia, a najgroźniejsi są wtedy, gdy nie mają piłki. I trzeba też pamiętać o ich znakomitym trenerze. Luis de la Fuente to szkoleniowiec, który nasiąknął tym systemem gry w reprezentacjach młodzieżowych, które wcześniej prowadził.

Który mecz zapamięta Pan najbardziej?

Zobaczyłem wszystkie sto cztery spotkania, ale najbardziej zapadł mi w pamięci pojedynek Argentyny z Egiptem. Egipt prowadził dziesięć minut przed końcem 2:0, a mimo to Argentyna z geniuszem w składzie, czyli Messim, wygrała 3:2. To on według mnie powinien otrzymać nagrodę specjalną dla najlepszego piłkarza turnieju.

Kto najbardziej zawiódł na mundialu?

Wiele mówi się, że zawiodły reprezentacje Turcji i Niemiec, ale ja na ani jednych, ani drugich nie liczyłem. Mnie zawiodła Belgia. Ta drużyna miała zakończyć pewien projekt, który powstał wiele lat temu, i który miał tę drużynę doprowadzić na szczyt – ostatecznie to się nie udało. Także Holandia, tutaj nie ma nawet o czym dyskutować – wszystko było złe. W Urugwaju nie było żadnej chemii między trenerem a zawodnikami.

Największe pozytywne zaskoczenie?

Maroko i Norwegia to drużyny, które wymieniano, że mogą zrobić trochę więcej niż się od nich oczekuje i one to wykonały, ale nie na tyle dużo, aby można było mówić w ich przypadku o jakimś spektakularnym sukcesie.

SIATKÓWKA

W tegorocznej Lidze Narodów biało-czerwoni siatkarze mierzą w złoto

Zbigniew Czyż

Po bardzo udanym ostatnim turnieju fazy zasadniczej polscy siatkarze nabrali apetytu na obronę tytułu, który wywalczyli przed rokiem w Lidze Narodów. W zakończonym etapie rozgrywek nasz zespół uplasował się na 2. pozycji.

Reprezentacja Polski siatkarzy jest już w Chinach. Na zawody, które zostaną rozegrane w dniach od 29 lipca do 2 sierpnia w Ningbo nie poleciał Jakub Kochanowski, który wraca do pełni sił po kontuzji. Środkowy kadry był z drużyną w Chicago na ostatnim turnieju fazy interkontynentalnej, ale nie pojawił się na boisku. Tym razem trener Nikola Grbić nie zdecydował się zabrać utytułowanego zawodnika, a czwórkę środkowych stanowić będą: Bartłomiej Lemański, Szymon Jakubiszak, Jakub Nowak i Jakub Majchrzak. Do pełni formy wrócił już rozgrywający Jan Firlej, dlatego do Ningbo poleciało tylko dwóch graczy na tej pozycji.

Ukraina zamiast Włochów

W ostatnim turnieju fazy zasadniczej w Chicago, Biało-Czerwoni walczyli o jak najlepsze rozstawienie i teoretycznie łatwiejszego ćwierćfinałowego rywala. W decydującym spotkaniu pewnie pokonali reprezentację USA 3:0. Dzięki temu o półfinał zagrają z Ukrainą, a nie z mistrzami świata, Włochami. Polscy siatkarze zakończyli zasadniczą część Ligi Narodów na drugim miejscu.

– To był bardzo dobry turniej, przegraliśmy tylko jednego seta. Mieliśmy trudne momenty, szczególnie w pierwszym i drugim secie z Francją, z USA na początku trzeciego seta i to są sytuacje, w których musimy się skupić, musimy się zresetować i wrócić do naszego poziomu – podsumował turniej w USA Nikola Grbić.

Ćwierćfinałowe spotkanie będzie drugim Polski z Ukrainą w tej edycji Ligi Narodów, bo te ekipy zmierzyły się w pierwszym turnieju fazy zasadniczej w chińskim Linyi, gdzie Ukraińcy sprawili Biało-Czerwonym bardzo dużo problemów. Zespół Grbicia wygrał ostatecznie 3:2, a Ukraińcy z bilansem 7 zwycięstw/5 porażek pierwszy raz awansowali do turnieju finałowego tych prestiżowych rozgrywek.

Lozano, czyli nasz bardzo dobry znajomy

– Pokora musi być cały czas z nami, bo każdy mecz układa się inaczej, a Ukraina jest nieprzewidywalna i jeżeli nie podejdziemy do spotkania odpowiednio zmotywowani, to nie będzie łatwo – mówi nasz rozgrywający Marcin Komenda.

Trenerem Ukraińców jest Raul Lozano, który w latach 2005-08 prowadził Polskę. Argentyńczyk jest uważany za szkoleniowca, który rozpoczął budowę potęgi polskiej siatkówki, pod jego wodzą po latach bez sukcesów Biało-Czerwoni zostali w 2006 roku wicemistrzem świata.

W półfinale zwycięzca tego meczu zagra z lepszym z pary Turcja – Słowenia. Polacy bronią złota Ligi Narodów wywalczonego w ubiegłym roku także w Ningbo. W 2025 roku, w spotkaniu o złoto pewnie pokonali reprezentację Włoch 3:0. Pozostałe pary ćwierćfinałowe to: Japonia – Chiny, Słowenia – Turcja i Włochy – USA. Finał i mecz o brąz zaplanowano na 2 sierpnia.

Priorytetem dla Biało-Czerwonych są mistrzostwa Europy, które we wrześniu zostaną rozegrane w Bułgarii, Finlandii, Rumunii oraz Włoszech. W fazie grupowej Polacy zmierzą się z Portugalią, Izraelem, Macedonią Północną, Bułgarią oraz Ukrainą.

Panie tym razem bez finału

Zmagania w tegorocznej edycji Ligi Narodów na fazie grupowej zakończyły Polki, które nie zakwalifikowały się do turnieju finałowego w Makau.

W Final 8 podczas minionego weekendu rywalizowały: Amerykanki, Włoszki, Brazylijki, Turczynki, Kanadyjki, Holenderki, Chinki i Japonki. W półfinałach Brazylia pokonała Włochy 3:2, a Turcja wygrała z Chinami 3:0. Ligę Narodów 2027 wygrała reprezentacja Turcji, która w niedzielnym finale wygrała z Brazylią 3:1. W meczu o brązowy medal, Włoszki nie dały szans Chinkom zwyciężając 3:1.

eprasa.pl 3daaa9cb0a

KAJAKARSTWO GÓRSKIE

Medale Pasiuta i Zwolińskiej na MŚ w Oklahoma City

Slalom kajakowy rozwija się nie tylko sportowo, ale także medialnie i myślę, że to coraz bardziej widać – ocenia Klaudia Zwolińska

Jacek Kmiecik

„Polski slalom od kilku lat błyszczy" – uważa Klaudia Zwolińska, nasza najbardziej utytułowana kajakarka górska. Biało-Czerwoni z dwoma medalami wracają z zakończonych w sobotę w Oklahoma City mistrzostw świata.



FOT. PAP/PAWEŁ SKRABA

Klaudia Zwolińska zdobyła na MŚ w Oklahoma City brązowy medal

Klaudia Zwolińska, wicemistrzyni olimpijska z Paryża w K1 i potrójna medalistka ubiegłorocznych mistrzostw świata w Penrith, podkreśliła, że tegoroczne wyniki Polaków na mistrzostwach świata zasługują na uznanie. W USA ona była trzecia w C1, a Michał Pasiut wywalczył srebro w K1.

– Srebro Michała Pasiuta było pierwszym, a mój brąz – drugim medalem. W ubiegłym sezonie zdobyliśmy dziewięć medali, z czego trzy były moje. Polski slalom od kilku lat naprawdę błyszczy, a jako związek kajakowy odnosimy sukcesy od ponad 30 lat, patrząc choćby na dorobek olimpijski – twierdzi Zwolińska, cytowana w komunikacie PZKaj.

Jak przyznaje, jest dumna z całej ekipy.

– Świetnie nam się pracuje, cały czas się rozwijamy i przywozimy z mistrzostw świata dwa indywidualne medale w konkurencjach olimpijskich. Powinniśmy mieć także medal drużynowy, ale tym razem decyzje sędziów nie były po naszej stronie. Do tego dochodzą bardzo dobre wyniki juniorów i młodzieżowców – zaznacza.

– Slalom kajakowy rozwija się nie tylko sportowo, ale także medialnie i myślę, że to coraz bardziej widać – dodaje.

Polacy nie zdołali awansować do finałów konkurencji cross w ostatnim dniu mistrzostw świata. Najlepiej spisała się Zwolińska, która awansowała do ćwierćfinału. Dominika Brzeska, Mateusz Polaczyk i Marek Kulczycki zostali wyeliminowani rundę wcześniej.

Brąz w Oklahoma to szósty medal mistrzostw świata Klaudii. W swojej koronnej konkurencji K1 zajęła w czwartek 10. miejsce.

Slalomistów do końca sezonu czekają jeszcze dwie imprezy Pucharu Świata – we francuskim Vaires-sur-Marne 3-5 września i finał tydzień później w hiszpańskim La Seu d'Urgell. Z kolei we włoskiej Ivrei 23-27 września odbędą się mistrzostwa Europy.

KRÓTKA PIŁKA

ADAM GODLEWSKI
szef działu Sport



Wróciła! Może czasem przaśna, ale własna, z niepowtarzalnymi emocjami. PKO Ekstraklasa

Tęskniliście? Nie będę pewnie oryginalny, ale nawet podczas mundialu czegoś mi w futbolu brakowało. W fazie grupowej sądziłem, że udziału reprezentacji Polski w MŚ, ale kiedy zaczęła się pucharowa – poziomem zdecydowanie górująca nad naszymi rozgrywkami – uświadomiłem sobie, że to inny rodzaj nostalgii. Za czymś stałym i powtarzalnym. Właśnie takim, jak PKO Ekstraklasa.

OK, liga nie ruszyła z kopyta, jakości i tempa nie ma sensu porównywać z najlepszymi meczami na mistrzostwach świata, ale ujęła od pierwszego dnia nowego sezonu. Pewnie po prostu dlatego, że niczym koszula ciału, jest nam po prostu najbliższa. Z całym dobrodziejstwiem inwentarza, centrostrzałami czy sytuacjami, które wydają się nie do zepsucia, ale Mileta Rajović i takie potrafi zmarnować.

Po prawdzie Duńczyka z czarnogórskimi korzeniami spokojnie można po raz kolejny obwołać niezdarą kolejki, ale mnie legionisty jest zwyczajnie , tak po ludzku, szkoda. Po jednym ze sparingów – gdy spudłował z metra – usłyszałem od ludzi ze stołecznego klubu, że rosły napastnik już tak bardzo się zaciął, że trudno będzie odgruzować jego psychę. Na boisku widać, że piłka go szuka w polu karnym, naprawdę często ma klarowne okazje, ale zamiast przełomu, tylko pogłębia frustrację. Swoją i kibiców...

Czy Marek Papszun będzie w stanie naprawić Rajovicia? Tego nie wiem, widzę natomiast, że Pan Trener już uzdatnił Legię. To nie jest zespół z pierwszej rundy poprzedniego sezonu, który na boisko wychodził bez mapy i planu. To jest drużyna, osłabiona odejściami Radovana Pankova, Juergena Elitima, czy Jeana-Pierre'a Nsame (Kacpra Urbańskiego nie liczę, bo on się przy Łazienkowskiej zwyczajnie nie przyjął), z pomysłem na siebie i bijącym – nie tylko rywali – po oczach team spirit. A każdy z zawodników jest – jeśli nie najlepszą wersją siebie – to z całą pewnością wariantem lepszym – i to znacznie – niż w minionych rozgrywkach. Dlaczego zatem efektu Papszuna miałby w końcu nie doznać także Mileta?

Tak, PKO Ekstraklasa to taka liga, w której trener przez duże T może zrobić kolosalną różnicę. Właśnie taką, jak Papszun w Legii.

POLACY NA INNYCH ARENACH

Porażki Wacha i Rzepeckiego. Brązowy medal Brych, a srebrny i brązowy Czapli

Jacek Kmiecik

Polacy ze zniennym szczęściem walczyli w weekend na innych arenach sportowych.

Polski weteran boksu Mariusz Wach (39-14, 20 KO) przegrał przez techniczny nokaut w siódmej rundzie z byłym mistrzem świata Tysonem Furym (36-2-1, 25 KO). Pojedynek wagi ciężkiej odbył się w piątek na kameralnej gali boksu w Pattayi w Tajlandii.

37-letni Fury rozpoczął walkę, wyprowadzając proste ciosy. Zmieniał pozycje z normalnej na mańkuta. 46-letni Wach szukał swojej szansy w mocnym uderzeniu, widać było jednak różnicę szybkości.

Po upływie kolejnych minut były dwukrotny mistrz świata podkręcił tempo. W piątej rundzie zamknął rywala w narożniku, trafił kilka razy, wciąż jednak bez większych strat po stronie Wacha. Polak bardziej zaczął odczuwać zmęczenie, niż siłę ciosów przeciwnika.

Po siódmym starciu wyglądał już na bardzo wyczerpanego i z ulgą przyjął gong na przerwę. Po niej jednak nie przystąpił już do walki. Sędzia ogłosił wygraną „Króla Cyganów" przez techniczny nokaut. Pojedynek był zakontraktowany na 10 rund, a dochód zostanie przeznaczony na wsparcie ubogich dzieci w Tajlandii.

Zwycięstwo Fury'ego jest wstępem do długo oczekiwanego starcia z Anthonym Joshuą, który w sobotę w Arabii Saudyjskiej stoczy rozgrzewkową walkę z Albańczykiem Kristianem Prengą. Stawką planowanego na koniec roku pojedynku ma być tytuł króla brytyjskiego boksu oraz ogromny prestiż. Walka reklamowana jest jako narodowa „bitwa o Anglię".

– 2026 to mój ostatni rok. Dlatego chcę być aktywny. Nie chcę kontynuować boksu, dopóki nie skończę 65 lat – powiedział Brytyjczyk.

Nie udał się debiut Damiana Rzepeckiego w największej organizacji mieszanych sztuk walki – UFC. „Rzeźnik" (10-1) przegrał na pełnym dystansie z kapitalnie dysponowanym Dagestańczykiem Magomedem Zajnukowem (8-0) w wadze lekkiej podczas sobotniej gali UFC Fight Night w Abu Dhabi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Ambitny Rzepecki parł do przodu i nadziewał się na proste, łokcie i kopnięcia „Chanko. W połowie pierwszej rundy walka została przerwan, bowiem Zajnukow wsadził dwa palce w oczy Polaka. Starcie po oględzinach lekarza wznowiono po dwóch minutach. Mimo wszystko wojownikowi z TFC Piotrków Trybunalski udało się obalić rywala.

W drugiej rundzie wylądował na plecach i był jeszcze bardziej obijany przez Magomeda. Z zalaną krwią twarzą „Rzeźnik" w trzeciej odsłonie zabrał się do odrabiania strat, ale przyjął jeszcze więcej ciosów. Choć wytrwał do końca przegrał jednogłośnie3x27-30.

Szpadzistka Barbara Brych zdobyła w sobotę brązowy medal szermierczych mistrzostw świata w Hongkongu. W półfinale przegrała 6:15 z Włoszką Giulią Rizzi, która z kolei o złoto uległa Koreance Sera Song 8:9 po dogrywce. To największy sukces w karierze 25-letniej zawodniczki AZS AKF Kraków.

Łukasz Czapla (Petarda Kraków) zdobył w zakończonych w sobotę w Tallinnie strzeleckich mistrzostwach świata w ruchomej tarczy trzy medale – jeden srebrny i dwa brązowe.



FOT. AP/EAST NEWS

Mariusz Wach przegrał przez nokaut techniczny z Tysonem Furym

eprasa.pl 3daaa9cb0a

LEKKOATLETYKA

Mogło być rekordowo. Mamy porównania z Jankesami

Mistrzostwa Polski to ostatni sprawdzian przed mistrzostwami Europy, których gospodarzem będzie Birmingham (10-16 sierpnia). Od 10 lat Ewa Swoboda jest najszybszą naszą sprinterką. Trzynasty złoty medal Anity Włodarczyk

Paweł Wiśniewski

1. miejsce = 10 000 złotych, 2. miejsce = 8000 zł, 3. miejsce = 6000 zł, 4. miejsce = 4000 zł, 5. miejsce = 2000 zł. To premie finansowe dla pięciu najlepszych lekkoatletów (według punktacji World Athletics) na tegorocznych mistrzostwach Polski.



FOT. PAP/MICHAŁ ZIELIŃSKI

I tym razem Ewa Swoboda bezproblemowo rozprawiła się ze swoimi krajowymi rywalkami

Ewa Swoboda ponownie okazała się najszybsza w biegu na dystansie 100 metrów (-0,4 m/s i 11,05 s). To już dziewiąty złoty medal tej dziewczyny, która pod względem liczby medali doganiła Marikę Popowicz-Drapałę.

Swoboda miała zdecydowanie najlepszą reakcję startową: 0,123 sekundy. Według kalkulatora siły wiatru przy wietrze +2,0 m/s Swoboda uzyskałaby 10,91 s, czyli czas lepszy od rekordu Polski Ewy Kasprzyk – 10,93 s z 1986 roku...

Po raz ósmy Dominik Kopeć został natomiast mistrzem Polski na 100 metrów (-0,4 m/s i 10,24 s), tym samym wyrównując osiągnięcie Mariana Woronina. Kopeć dziesiąty raz stanął na podium MP – to historyczny rekord w tej konkurencji.

Magdalena Bokun okazała się najlepsza w skoku w dal, ale 6,25 m to najsłabszy wynik złotej medalistki mistrzostw Polski od... pół wieku (6,25 m pofrunęła w 1976 roku Ewa Garczyńska).

Maher Ben Hlima to najszybszy chodziarz na 10 000 metrów (nie startował Dawid Tomala, mistrz olimpijski z Tokio w chodzie na 50 km). Jednak czas 40:37,11 nie jest rewelacyjny – poza Rosjanami najszybciej w tym roku 10 000 m przeszedł Etiopczyk Migsana Wakuma (38:04,09 – najlepszy czas w historii afrykańskiego chodu). Tym samym warto podkreślić postępy etiopskich lekkoatletów w innych konkurencjach niż biegi średnie i długie...

29-letni Konrad Bukowiecki nie chciał być gorszy od małżonki Natalii Bukowieckiej (z domu Kaczmarek) i zdobył czwarty tytuł mistrza Polski na stadionie. Historycznym liderem jest – co zrozumiałe – Władysław Komar (17 medali, w tym 14 złotych).

37-letni Paweł Fajdek zdobył natomiast dziewiąty tytuł mistrza Polski – to już jego osiemnasty medal mistrzostw kraju w kategorii seniorów. Tym samym Paweł goni swojego słynnego trenera, Szymona Ziółkowskiego, mistrza olimpijskiego (Sydney, 2000 rok) i mistrza świata (Edmonton, 2001 r.), który w kolekcji ma 20 medali, w tym 14 złotych...

Natalia Bukowiecka (50,02 s) i Maksymilian Szwed (45,79 s) wygrali biegi na dystansie 400 metrów.

Z kolei Anita Włodarczyk zdobyła trzynasty złoty medal w rzucie młotem w zawodach tej rangi. Jednocześnie osiągnęła samodzielny rekord, który wcześniej współdzieliła z Kamilą Skolimowską.

Klaudia Kazimierska czasem 1:58,97 ustanowiła rekord życiowy i rekord mistrzostw Polski w biegu na dystansie 800 metrów, choć jest koronnym dystansem jest 1500 metrów...

Niespodziewanym zwycięzcą konkursu skoku wzwyż został Sebastian Moszczyński – 2,16 m. Drugi Cezar Sidya i trzeci Mateusz Kołodziejski przeskoczyli poprzeczkę zawieszoną na wysokości 2,12 m.

Na starcie mistrzostw Polski nie stanęli m.in. Justyna Święty-Ersetic i Marika Popowicz-Drapała (400 metrów), Maria Żodzik (wzwyż), Robert Sobera (tyczka), Hubert Trościanka (dziesięciobój) i Dawid Tomala (chód).

Dla porównania, w tym samym czasie Amerykanie również rozgrywali krajowe mistrzostwa. Na nowojorskim „Icahn Stadium" Noah Lyles po raz trzeci został mistrzem USA w biegu na dystansie 100 metrów z najlepszym tegorocznym czasem na świecie – 9,79 s!

W rywalizacji kobiet na tym samym dystansie Sha'Carri Richardson – mistrzyni świata z 2023 roku i srebrna medalistka olimpijska z 2024 roku – również zdobyła swój trzeci tytuł mistrzyni kraju z czasem 10,77 s.

LEKKOATLETYKA

Walka, ból i cierpienie. Najlepsi z najlepszych mają głos. Oto ich refleksje

Paweł Wiśniewski

Przez trzy dni elita naszych zawodników rywalizowała na stadionie im. Wojciecha Nowickiego – zwanym potocznie stadionem „Zwierzynieckim" – o medale mistrzostw Polski. A co mieli do powiedzenia?

Ewa Swoboda:

Jest bardzo zimno. Poniosło mnie troszeczkę. 11.05 – jedziemy! Rekord Polski to mój cel od wielu wielu lat. Jest to możliwe, nie chcę nic obiecywać. Szybko poradziłam sobie z kontuzją przywodziciela. Poczułam się pewnie i poleciałam.

Dominik Kopeć:

Moim zadaniem było tutaj wygrać jak najmniejszym kosztem. Z trenerem postawiliśmy za imprezę docelową: mistrzostwa Europy. Realnie mogę tam walczyć o finał. Mistrzostwa Polski to dla mnie mocny trening. Cała energia pójdzie na półfinał mistrzostw Europy.

Natalia Bukowiecka:

Walczyłam sama ze sobą, z czasem. Jestem dobrze przygotowana. Najważniejsze, że jestem zdrowa, nic mnie nie boli. Z samotnego biegu najlepszy czas w sezonie, daje mi to spokój. Gdy biegam o stawkę, idzie mi dobrze. Na chłodno analizując, poprzednie sezony nie biegałam wcale wolno, najwyższą formę zazwyczaj przywoziłam na imprezę sezonu.

Bartosz Kitliński:

Nie zwątpiłem ani na moment, nawet gdy Wyderka tak mocno poszedł. Ruszył tak szybko, że schowałem się też za Filipem Ostrowskim. Byłem bardzo pewny siebie. Super idą treningi. Jestem spokojniejszym zawodnikiem niż jakiś czas temu. W Birmingham może być wynik 1:48.00 albo bieg poprowadzi jakiś wariat, który podyktuje szybkie tempo.

Pia Skrzyszowska:

W eliminacjach kontrolowany bieg. Jestem w treningu pod mistrzostwa Europy. W finale zepsułam technicznie kilka rzeczy. Nic to nie oznacza, szykuję się na mistrzostwa Europy. Mam teraz większe obciążenia na siłowni, więcej treningów szybkościowych. To był dobry sprawdzian, te zawody były częścią treningu.

Klaudia Kazimierska:

Testuję przeloty zza oceanu przed mistrzostwami Europy, wracam jeszcze do USA. Spełniłam moje założenia na ten bieg. Testuję bieganie dzień po dniu przed mistrzostwami Europy: tam będę biegać tylko 1500 metrów i walczyć na tym dystansie o medal.

Maksymilian Szwed:

Czułem, że będzie dzisiaj rekord Polski. 80 ostatnich metrów zaczęło mnie ścinać. Myślałem, że jestem daleko z przodu i zdziwiłem się, jak zobaczyłem na tablicy wyników, że ledwo wygrałem. Przygotowania do sezonu były krótkie. Na wynik jestem zły: chciałbym w tym sezonie pobiec jeszcze raz poniżej 45 sekund.

Paulina Ligarska:

Od miesiąca każdego dnia podejmowałam walkę o powrót do zdrowia. Do końca próbowałam, wierzyłam trochę naiwnie, że się uda. Ból achillesów, który pojawił się nagle, zniszczył moje marzenia i walkę o najlepsze wyniki w tym sezonie. Startując na mistrzostwach Polski, ryzykowałam, ale już dawno zapomniałam, co to głos rozsądku. Mimo tych problemów forma była dobra, dlatego tak ciężko było zrezygnować z tych zawodów.

Maria Andrejczyk:

Chorowałam cały tydzień, zastanawiałam się, czy tu startować, ale z charakteru jestem uparta. Birmingham jest najważniejsze. Cieszą postępy młodych dziewczyn za mną. Za mną dobry obóz w Spale.

Anna Matuszewicz:

Serca pęka mi na milion kawałków, ale czas zakończyć sezon. W teorii spokojne przygotowania, bo mam minimum na mistrzostwa Europy, a w praktyce ostatni czas to walka, czy zdążę wyleczyć kontuzję. Jak na sportowca przystało podjęłam rękawice i wystartowałam na tegorocznych mistrzostwach Polski. Niestety, zabrakło mi czasu, żeby pokazać się na nich z lepszej strony. Zostawiam to za sobą i skupiam się teraz na odpoczynku i dalszej rehabilitacji. Do zobaczenia w hali!

eprasa.pl 3daaa9cb0a

S24 **sportowy24.pl**

sport

KAJAKARSTWO GÓRSKIE

Dwa medale naszych zawodników na mistrzostwach świata w Oklahoma City
str. 22

PODSUMOWANIE MUNDIALU



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Wywiad tygodnia. Trener Jerzy Engel zachwycony turniejem o mistrzostwo świata
str. 21

PKO BP EKSTRAKLASA

Piłkarze krajowych klubów wrócili na ligowe boiska. Już na inaugurację nie obyło się bez kontrowersji. Na miano niezdary kolejki ponownie zapracował legionista Mileta Rajović
str. 20

Najlepszy wynik w sezonie naszej najszybszej sprinterki to dobry prognostyk przed zbliżającymi się mistrzostwami Europy w Birmingham



FOT. PAP/MICHAŁ ZIELIŃSKI

Natalia Bukowiecka poprawiła w Białymstoku rekord lekkoatletycznych mistrzostw Polski w biegu na 400 metrów. Uzyskała czas 50,02 *str. 23*

eprasa.pl 3daaa9cb0a